POLSKA WSTAJE Z KOLAN

str. 3

FAKTY PO MITACH

Nr 4 (280), 23 – 29 stycznia 2026 r.



UPADLI POLITYCY

str. 13

SPADAJĄCA GWIAZDA

str. 18



NOBEL W BURDELU: Za cholerę nie rozumiem Norwegów. Niby naród spokojny, cywilizowany, otwarty na świat, a jednocześnie skrajnie egoistyczny, nieprzejmujący się przyszłością ludzkości... (Darek Cychol, str. 2)



NOWA OBRONA JASNEJ GÓRY: Bracia i siostry katolicy, sympatycy maryjnego sanktuarium! Czas najwyższy na nową obronę Jasnej Góry... (Andrzej Gerlach, str. 9)

9 772719 530604 04

cena 11,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2719-5309 INDEX 434000

tygodnikfaktypomitach

faktypomitach.pl

eprasa.pl 54278aaac6

Akademia absurdu



Nobel w burdelu



Za cholerę nie rozumiem Norwegów. Niby naród spokojny, cywilizowany, otwarty na świat, a jednocześnie skrajnie egoistyczny, nieprzejmujący się przyszłością ludzkości.

Moją ocenę udowadnia szeroko komentowana sprawa Nagrody Nobla dla prezydenta USA Donalda Trumpa. Ściślej zaś mówiąc pokojowej, a jeszcze ściślej – tej, której nie dostał. Efektem tego sknerstwa Norwegów jest głęboka frustracja przywódcy Wolnego Świata (jak o Stanach zwykli wyrażać się polscy liderzy), który wypisuje teraz, że jak nie dostał tego wyróżnienia, to już mu nie zależy na pokoju. „Drogi Jonasie: Zważywszy na to, że twój kraj postanowił nie przyznać mi Pokojowej Nagrody Nobla za powstrzymanie ośmiu wojen, nie czuję już obowiązku myślenia wyłącznie o pokoju, choć zawsze będzie on dominujący, ale mogę teraz myśleć o tym, co jest dobre i właściwe dla Stanów Zjednoczonych Ameryki" – napisał do premiera tego samolubnego kraju Jonasa Gahra Store'a. (Cholera wie, dlaczego wysłał tę wiadomość akurat jemu, bo formalnie nie ma on nic wspólnego z przyznawaniem tego wyróżnienia). No i w efekcie krótkowzroczności Norwegów mamy pozamiatane: przywódca Wolnego Świata „wziął" i obraził się na cały świat; z wyjątkiem USA (no i oczywiście Izraela). Czas się bać, bo ma najpotężniejszą i najlepiej uzbrojoną armię na globie, a do tego kompletnie nierówno pod „kopułą". Zrobi, co zechce. Wojna, bombardowanie, porwanie przywódcy jakiegoś kraju? Wszystko możliwe: na kogo wypadnie, na tego bęc!

Lód i wódka

W 2009 r. Pokojową Nagrodę Nobla dostał ówczesny prezydent USA Barack Hussein Obama II. I to zaledwie po 10 miesiącach urzędowania na zydlu przywódcy Wolnego Świata. Tak na zachętę mu ją dali. Widocznie poczuł się tym wyróżnieniem zobowiązany do niesienia światu pokoju, bo zabijał tylko w siedmiu krajach: Afganistanie, Iraku, Syrii, Libii, Jemenie, Somalii i Pakistanie. Trump nie ma takich zobowiązań…

Automatycznie nasuwa się pytanie: dlaczego Norwegowie nie dali mu tej nagrody? Wyobraźcie sobie taką sytuację. Na spontanicznej „domówce" skończył się alkohol. Gościnny gospodarz wpadł na to, żeby wysłać żonę do „Żabki". Rezolutna kobieta, świeć Panie nad jej duszą…, kupiła 5 „łyskaczy", 7 wódek, 6 win na zapojkę, 4 flaszki Prosecco dla niepijących (kierowcy) i worek lodu. Kiedy wracała, zza rogu wyskoczył nabuzowany czymś szaleniec z siekierą, nożem, pistoletem, karabinem maszynowym, kilkoma granatami i oznajmij jej: „oddaj mi lód, to sobie pójdę". Nie oddała. Typ sam wziął sobie lód, a przy okazji 22 butelki trunków. Zbój ma się dobrze, nikt mu nic nie zrobił i nie zrobi, za to o ślubnej gospodarz mówi już w czasie przeszłym. (No i szlag trafił dobrze zapowiadającą się imprezę).

Czy nie wydaje się Wam, że decyzja kobiety strzegącej worka lodu była po prostu głupia? Przecież mogła go oddać, odnieść zakupy do domu, a potem wrócić do sklepu po lód, 20 piw i 5 wódek (na wszelki wypadek; gorzała nigdy się nie zmarnuje). Tak samo jest z Norwegami i Noblem dla Trumpa. No, co im tak zależy? Wziął się przywódca Wolnego Świata uparł, że chce mieć własny medal i co mu zrobicie? Ja dałbym mu natychmiast gwarancję, że dostanie go za rok (2027), a w kolejnych latach następne: w 2028 r. – za osiągnięcia literackie, a w 2029 r. za coś naukowego (filozofia, ekonomia). No może by się opamiętał. A tak, to już nawet nie wiadomo, gdzie uciekać, bo walnąć może nawet w miejsca uważane dotąd za bezpieczne, jak Grenlandia.

Norwegowie wypięli się na Trumpa, a świat cierpi. Duńskiej (faktycznie) Grenlandii, ma bronić 15 (słownie: piętnastu) Francuzów, „kilku" Szwedów, dwóch Norwegów, dwóch Finów i jeden Holender. Miało im pomagać 12 Niemców, ale już wrócili do kraju. (Zimno, a poza tym Trump postraszył Berlin sankcjami gospodarczymi i tyle zostało z bohaterstwa). Amerykanie jeszcze nie zaczęli ekspansji, a już jest ich na Grenlandii co najmniej 150; świetnie wyposażonych i grzejących się w bunkrach bazy Pituffik, której możliwości podjęcia swoich rodaków są na poziomie ok. 6 tys. Szykuje się ciekawe starcie, przy którym obrazy z serii „Masakra piłą mechaniczną" (9 serii) będą niczym bajka dla dzieci. No, chyba że Norwegowie jednak dadzą Trumpowi tego Nobla.

Wojna i pokój

Przywódca Wolnego Świata twierdzi, że w ciągu minionego roku zakończył 8 wojen (Izrael i Iran, Egipt i Etiopia, Indie i Pakistan, Serbia i Kosowo, Armenia i Azerbejdżan, Izrael i Hamas, Tajlandia i Kambodża, DR Konga i Rwanda). Rzecz w tym, że część z konfliktów trudno nazwać wojnami, w części walki trwały i trwają, a w innych zawieszenia broni okazały się krótkotrwałe. Niebawem będzie mógł powiedzieć, że zakończył kolejną wojnę – tę swojego poprzednika Joe Bidena (tak ją nazywa) toczącą się między Rosją i Ukrainą. Z jego punktu widzenia wszystko jest gotowe do zawarcia porozumienia pokojowego, bo dogadał się z Władimirem Putinem. Jeśli zaś wojna dalej się toczy, Ukraińcy umierają na froncie od kul, w domach wskutek ostrzałów i bombardowań, albo zamarzają – to już wina Wołodymira Zełenskiego, bo woli śmierć od pokoju i dobrobytu. Przynajmniej amerykańskiego.

Świat polityki od zawsze był skundlony i obłudny. „Prawo międzynarodowe już dawno odeszło w zapomnienie! To nie Trump je zniszczył. To jak narzekanie na utratę dziewictwa w środku burdelu. Trump po prostu powiesił na burdelu tabliczkę: *Uwaga! Burdel*. Żeby nie było wątpliwości" – uważa rosyjski pisarz Wiktor Szenderowicz (spokojnie: „słuszny" literat – opozycyjny, „FpM" 3/2026). Teraz, w ramach rozwoju projektu „Burdel", dostaliśmy z Waszyngtonu zaproszenie do wejścia w skład Rady Pokoju, która miałaby się zajmować sytuacją w Strefie Gazy, a z czasem innymi konfliktami; takiej amerykańskiej wersji ONZ.

Dokładnie zaproszenie dostał prezydent Karol Nawrocki. (Swoją drogą, mógłby go zaprosić do Rady ds. Kawalerki Pana Jerzego, bo co tam tylko pokój bez kuchni). Zaproszenia dostało też 49 innych państw (w tym Komisja Europejska). Wpisowe – miliard dolarów, bo jeśli Rada zdecyduje się na jakieś rozwiązania, w tym „odbudowę" zniszczonej przez Izrael Strefy, ktoś będzie musiał za to zapłacić Amerykanom, bo Palestyńczycy pieniędzy nie mają, a Izraelczycy nie zwykli wydawać własnych.

Jest dla mnie zrozumiałe, że K. Nawrockiego ciągnie do owego „burdelu". Bez dwóch zdań. Pociesza mnie świadomość, że Kancelaria Prezydenta RP nie ma środków na wpisowe. Z drugiej strony, jak mu Tusk nie da, będziemy mieć kolejną odsłonę wojny polsko-polskiej. I żyć nadzieją, że zakończy ją Donald Trump, choć to wątpliwa nadzieja, bo pokój już go nie interesuje.

Darek Cychol

FAKTY bez mitów

Zalewają nas tanie paczki ze sklepów typu Shein czy Temu. Specjaliści mogą sobie ostrzegać przed szkodliwymi substancjami w tanich ciuchach, albo załamywać ręce nad marnowaniem zasobów na produkowanie ubrań, które założymy dwa razy, bo potem nie będą nadawały się do niczego. Nie boimy się nawet potencjalnych problemów z reklamacją, jeśli towar dotrze zniszczony. Według danych Krajowej Administracji Skarbowej, co tydzień tylko na lotnisko Katowice-Pyrzowice dociera 450 ton takich paczek. Polak zna jedno kryterium zakupu: niska cena.

***

Kierowcy taksówek na aplikację muszą mieć polskie prawo jazdy? Pracodawca sprawdza, czy są w Polsce legalnie? To tylko teoria, donosi „Gazeta Wyborcza". Co miesiąc w Warszawie Straż Graniczna i policja masowo sprawdzają kierowców Ubera i Bolta i jeszcze się nie zdarzyło, by nie znaleziono osobników bez uprawnień i/lub prawa pobytu. Kierowcy jeżdżą dla tzw. partnerów flotowych – firm, które biorą w leasing kilkadziesiąt aut i wezmą każdego chętnego. Weryfikacja, czy chętny jeździć może i w jakim jeździ stanie, to fikcja. Nawet pod lotniskiem Chopina, gdzie teoretycznie wjeżdżają tylko dodatkowo sprawdzeni, policja znalazła za kółkiem osobników nietrzeźwych i poszukiwanych za przestępstwa.

***

912 lewych recept na psychotropy wystawiła siedmioosobowa grupa przestępcza, zanim Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości położyło kres interesowi. Siedem osób (sześciu Polaków i Ukrainiec) przejęło dostęp do kont prawdziwych lekarzy na portalu Gabinet.gov.pl; przy ich użyciu produkowali recepty dla każdego, kto chciał zapłacić. Z ustaleń policji wynika, że pechowi medycy nie mieli o niczym pojęcia, ba – o mały włos sami nie padli ofiarą wyłudzenia kredytu na ich dane. Chwalimy się cyfryzacją Polski, dyskretnie nie pytając o bezpieczeństwo danych.

***

Świetny pomysł na biznes mieli też policjanci z Wodzisławia Śląskiego. Katowicka prokuratura postawiła zarzuty czterem byłym już funkcjonariuszom, którzy uznali, że jako podoficerowie wydziału narkotykowego zarabiają za mało i dla kasy weszli w układy ze światem przestępczym. Z Wodzisławia do granicy z Czechami rzut beretem, więc mieli świetne rozeznanie w kwestii transgranicznych przerzutów towaru. Zjawiali się na miejscu, część narkotyków rekwirowali i zabezpieczali, część wracała na rynek. Ile na tym zarobili, prokuratura nie informuje. Żeby przypadkiem nie znaleźli się naśladowcy.

A.S.

eprasa.pl 54278aaac6

Polska wstaje z kolan

Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego (ISKK) przedstawił najnowszy raport o praktykach katolików w Polsce. Kościoły najszybciej pustoszeją w diecezjach koszalińsko-kołobrzeskiej i szczecińsko-kamieńskiej.



Jak co roku ISKK ogłasza „spóźniony" o 12 miesięcy raport Annuarium Statisticum Ecclesiae in Polonia, w którym przedstawia instytucjonalny i społeczny wymiar kondycji Kościoła w naszym kraju. „Dane w tym roczniku ukazują m.in. dwa trendy przemian Kościoła w Polsce. Pierwszy trend potwierdzony przez statystyki z roku 2024 to zmniejszanie się szeregów Kościoła instytucjonalnego, tj. liczby księży, zakonników i zakonnic. (...) Drugi trend dotyczy społeczeństwa – stabilizują się statystyki dotyczące praktyk religijnych" – czytamy w raporcie.

Religijna geografia

Według ISKK, religijność Polaków różnicuje się geograficznie, w czym widać wpływ procesów historycznych, a statystyki dotyczące praktyk religijnych stabilizują się. Choć Kościół katolicki lubi powtarzać, że ponad 70 proc. Polaków to katolicy, wskaźnik *dominicantes* (uczestnictwa w niedzielnej mszy) w 2024 r. wyniósł zaledwie 29,6 proc., zaś *communicantes* (osób przyjmujących komunię w stosunku do obecnych na mszy) to zaledwie 14,6 proc.

„W stosunku do 2023 roku oznacza to wzrost wskaźnika *dominicantes* o 0,57 p. proc. oraz wzrost *communicantes* o 0,64 p. proc. Istotne, że ten trend zmian odnotowany jest w niemal wszystkich diecezjach. Można więc zauważyć, że spadek praktyk wywołanych ograniczeniami epidemicznymi zatrzymał się (przed pandemią COVID-19 wskaźnik *dominicantes* wynosił bowiem 36,9 proc., a *communicantes* 16,7 proc." – cieszy się ISKK, najwidoczniej zapominając, że podczas pandemii ludzie prawie nie mogli wychodzić z domów. W 2024 r. mogli.

Tradycyjnie, najwyższą frekwencję podczas niedzielnych mszy odnotowano w diecezjach położonych we wschodniej i południowo-wschodniej części kraju. Liderem pozostaje diecezja tarnowska, gdzie w niedzielę do kościoła uczęszcza 62,3 proc. wiernych. Kolejne miejsca zajęły diecezje: rzeszowska (52,4 proc.) oraz przemyska (50,0 proc.). Zupełnie inaczej prezentują się wyniki z północno-zachodniej części kraju, która od lat uznawana jest za jeden z najbardziej świeckich regionów Polski. Najlepsze (bo najniższe) wyniki w skali kraju osiągnęły diecezje koszalińsko-kołobrzeska (17,53 proc.) oraz szczecińsko-kamieńska (17,59 proc.).

Jeśli chodzi o wskaźnik *communicantes* najmniej gorliwe są również diecezje zachodniopomorskie. W diecezji szczecińsko-kamieńskiej komunię w niedzielę przyjmuje tylko 8,85 proc. uczestników mszy, a w koszalińsko-kołobrzeskiej – 8,98 proc. W tej kategorii rekord pobiła diecezja sosnowiecka, która nieustannie raczy nas przeróżnymi skandalami. Chyba nikt nie chce przyjmować komunii do ust od księży zamieszanych w różne afery seksualne. Tam *communicantes* wyniósł 8,65 proc.

Sutanny i sakramenty do lamusa

Jak wynika z kościelnego raportu, liczba księży inkardynowanych w 2024 r. (przypisanych do konkretnej diecezji lub członków zgromadzeń zakonnych – przyp. red.) wyniosła 23 274. To znaczy, że w latach 2018-2024 zmniejszyła się o 6,4 proc. Najmniejszymi diecezjami pod względem liczby księży były: Ordynariat Polowy WP – 52, drohiczyńska – 245 oraz elbląska – 269. Dla porównania najwyższa liczba księży posługuje w diecezjach tarnowskiej (1 465), krakowskiej (1 117) i w katowickiej (949).

Największy spadek ISKK zaobserwował w wypadku liczby alumnów (studentów seminariów) diecezjalnych. W porównaniu z 2023 r. zmniejszyła się ona o 5,3 proc., ale od 2018 r. już o ponad 50 proc. W tym czasie zmalała także liczba sióstr w zgromadzeniach czynnych i to o ponad dwa tysiące. Trend wzrostowy zauważono wśród diakonów stałych. W 2022 r. było ich 99, a w 2024 – 109.

Ten niewątpliwy sukces Kościoła przyćmiewa jednak liczba przyjmowanych sakramentów. W 2024 r. ochrzczono w całym kraju 247,2 tys. dzieci, czyli o 7,5 p. proc. mniej niż w roku poprzednim. Skalę spadku widać jednak dopiero w porównaniu z 2018 r. Wtedy ochrzczono 386,4 tys. dzieci. O 1,5 p. proc. w porównaniu z rokiem 2023 obniżyła się też liczba dzieci przystępujących do pierwszej komunii – było ich niespełna 320 tys. W wypadku sakramentu bierzmowania sprawa wygląda jeszcze lepiej. Jak podaje ISKK, w 2024 r. przyjęło je blisko 213 tys. osób, czyli o 27,6 p. proc. mniej niż rok wcześniej. Coraz mniej osób decyduje się też na ślub kościelny. W 2024 r. związek przed ołtarzem zawarło 68,3 tys. par. To o 11,6 p. proc. mniej niż rok wcześniej. Dla porównania w 2018 r. w Polsce zawarto 136 tys. ślubów kościelnych.

Przebudzenie Polaków potwierdza wiele innych badań, m.in. najnowsze – prof. Joerga Stolza z Uniwersytetu w Lozannie, opublikowane w „Nature Communications". Wykazało ono, że od 2016 r. Polska sekularyzuje się najszybciej na świecie, zwłaszcza młodzież. Na długofalowy spadek religijności Polaków wskazuje też CBOS. Dotyczy on zarówno deklaracji wiary (z 94 proc. do ok. 84 proc.), jak i regularnych praktyk (z 70 do ok. 42 proc. dorosłych). Powodem tego są m.in. ogólna krytyka Kościoła, jego zaangażowanie w politykę, skandale i postępująca sekularyzacja, którą pandemia tylko umocniła.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Pocałunek w czółko od aniołków

Sprawę 75-letniego ks. Edwarda D. z Pieszyc w woj. dolnośląskim badają prokuratura i Stolica Apostolska. Parafianie nie wierzą w winę swojego proboszcza.

Ksiądz Edward D. po 28 latach proboszczowania w parafii św. Antoniego w Pieszycach szykował się już do emerytury, kiedy w grudniu ub.r. biskup świdnicki Marek Mendyk nagle go odwołał. Tydzień później biskup w liście do wiernych wyjaśnił, że przyczyną było zgłoszenie, które wpłynęło do delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży oraz dorosłych osób, bezradnych w jego diecezji. „Obecnie sprawa trafiła do Stolicy Apostolskiej" – poinformował biskup, nie ujawniając szczegółów.

Oskarżenia i „świadectwa"

Jak ustaliła „Gazeta Wyborcza", chodziło o zgłoszenie jednego z duchownych, który pełnił posługę z proboszczem D. Proboszcz podczas pewnej mszy zaprzeczył wszelkim oskarżeniom. Część parafian podczas kolędy nie przyjęła księdza. Część jednak stanęła po jego stronie. Organista miał zbierać „świadectwa" parafian o tym, jak wiele dobrego proboszcz zrobił dla społeczności. Podczas pasterki grupa miejscowych kibiców skandowała przed kościołem „Murem za D..., kurde, murem za D...!".

Do kurii wpłynęły jednak obciążające ks. Edwarda D. zeznania kolejnych trzech osób, w tym byłego ministranta. „On zawsze tak nas jakby całował w czółko od aniołków. Takie miał stwierdzenie, że taki pocałunek w czółko od aniołków. (...) Lubił nas dotykać w sensie takim, że poprawiał nam stroje liturgiczne, (...) poprawiał te kołnierzyki ministranckie czy alby, czy pas ministrancki" – cytuje dorosłego już mężczyznę lokalny „Magazyn Dzierżoniowski".

Z relacji mężczyzny wynika, że ksiądz pod pretekstem różnych prac w parafii, np. pisania ogłoszeń na komputerze, porządkowania ksiąg cmentarnych, ściągał ministrantów na plebanię. Zawsze pojedynczo. „W moim wypadku na pewno dwa albo trzy razy kończyło się to tym, że po prostu ksiądz, wykorzystując tę zależność, że ja jestem od niego zależny, a on jest moim przełożonym, doprowadzał do tego, że lądowałem w jego sypialni, w jego łóżku" – czytamy.

„Duch pojednania"

Do tych oskarżeń proboszcz D. odniósł się na facebookowej stronie parafii. „(...) Czuję ciężar zarzutów, które zostały mi postawione, a o których dotąd nie zostałem jasno poinformowany. Dlatego pragnę Wam – przed Bogiem, Kościołem i całą naszą wspólnotą – uroczyście powiedzieć, że są one bezpodstawne i nieprawdziwe (...). Proszę Was z całego serca o modlitwę – za mnie, abym miał siłę nieść ten krzyż, ale także za tych, którzy przyczynili się do całej tej sytuacji. Niech Pan obdarzy nas wszystkich światłem prawdy, pokojem serca i duchem pojednania" – napisał.

Pod postem ograniczono możliwość komentowania. Sprawą zajęła się już Prokuratura Okręgowa w Świdnicy. Jak potwierdza jej rzecznik Mariusz Pindera, dlatego że chodzi o „osobę poniżej 15. roku życia i seksualne wykorzystywanie małoletniego". Z uwagi na przedawnienie sprawa może jednak zostać umorzona.

Wanda Kwiecień

eprasa.pl 54278aaac6

WIARA CZYNI CZUBA

Ukraina: psycholog w sutannie

Znany ksiądz bloger Ołeksij Fiłuk z Ternopilszczyzny przypomina Ukrainkom, które zaszły w ciążę wskutek gwałtu, że aborcja to „grzech”.

W jednym z wywiadów klerocelebryta Ołeksij Fiłuk został zapytany o sytuację Ukrainek, które padły ofiarą gwałtu podczas wojny z Rosją. „Nie będę tutaj dawał odpowiedzi. Ale pozbawianie życia – to jest owocu, które w macicy... Cóż, co to dziecko zawiniło? Nie dam jednoznacznej odpowiedzi. Ale zabijanie – to grzech. Tu grzechy zrobili inni – a jeszcze my mamy brać grzech na duszę, zabijać swoje owoce. I to nadal jest twoja komórka jajowa, nosiłaś to pod sercem. I zabijanie. Grzech” – rozmyśla ksiądz. Organizacja Narodów Zjednoczonych od początku wojny w Ukrainie do sierpnia 2024 r. odnotowała 376 przypadków przemocy seksualnej. Specjaliści ds. praw człowieka i organizacje międzynarodowe wskazują jednak, że to tylko wierzchołek góry lodowej. Wiele ofiar ich nie zgłasza z powodu traumy, stygmatyzacji, braku bezpieczeństwa, a przede wszystkim braku dostępu do jakiejkolwiek pomocy.

Rosja: cerkiewna inflacja

Bieda i wojna zajrzały w oczy rosyjskiej Cerkwi. Parafie ponad 40 proc. podniosły stawki za śluby, pogrzeby, chrzty i modlitwy.

Niezależny emigracyjny portal The Moscow Times przeanalizował oficjalne strony internetowe 140 świątyń w całej Rosji, porównał je z ich archiwalnymi wersjami i obliczył zmiany cen. Najpopularniejsze obrzędy cerkiewne (chrzty, śluby i pogrzeby) w Rosji podrożały średnio o 40 proc., przekraczając oficjalny wskaźnik inflacji. Największe wzrosty cen dotyczyły ślubów (107 proc.), pogrzebów (71 proc.) i chrztów (50 proc.). W kosmos wystrzeliły stawki za modlitwy intencyjne. „Dwa lata temu płaciłam 100 rubli za jedno imię na rok. Dałam tysiąc rubli i zapisałam 10 imion do modlitw. Teraz za jedno imię na rok trzeba zapłacić 5 000 rubli. Byłam oszołomiona” – żali się Anastazja, mieszkanka Kopiejska.

Brazylia: rekordowy wyrok

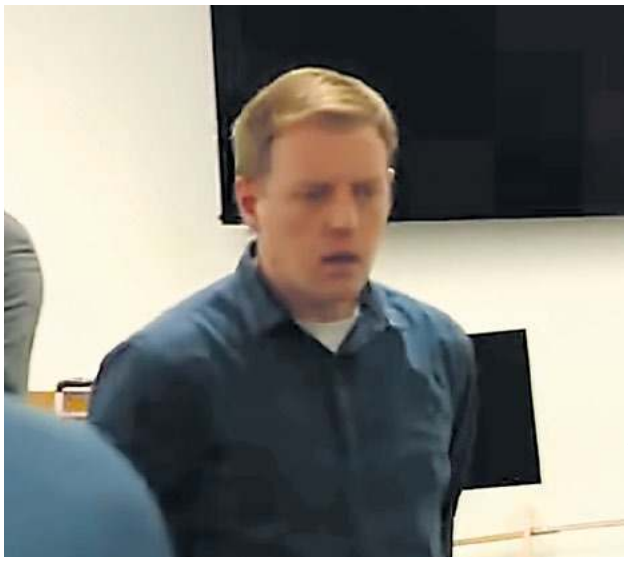
Sąd skazał byłego księdza Bernardino Batistę dos Santosa na 24 lata i 9 miesięcy więzienia za gwałt na czterolatce.

Ten rekordowy wyrok duchowny usłyszał za przestępstwo popełnione w 2016 r. wobec czteroletniej dziewczynki na farmie w mieście Tiros, gdzie organizował zajęcia z dziećmi. Skazany ma też zapłacić swojej ofierze 30 000 reali (ok. 20 tys. zł). Wcześniej, w 2021 r., Dos Santos został usunięty z funkcji w Kościele (archidiecezja Belo Horizonte) po dziesiątkach zgłoszeń dotyczących nadużyć wobec dzieci w różnych okresach od lat 70. XX w. Wyrok był możliwy dzięki zmianom prawa dotyczącym przedawnienia przestępstw pedofilskich.

Korea Płd.: kościoły na cenzurowanym

Gdzie kościoły tam korupcja albo molestowanie. Władze państwowe powołały specjalnych prokuratorów do zbadania przekrętów w Kościele Zjednoczeniowym. A to jeszcze nie wszystko...

Rządząca Partia Demokratyczna i opozycyjna Partia Władzy Ludowej porozumiały się w sprawie powołania specjalnych prokuratorów, którzy zbadają zarzuty korupcji i lobbingu ze strony Kościoła Zjednoczeniowego. Śledczy mają sprawdzić powiązania polityków z tą organizacją religijną, a ich śledztwo ma być testem dla konstytucyjnej zasady rozdziału państwa od Kościoła. Aresztowano już m.in. Yoon Youngho, wysokiego rangą działacza kościelnego, oskarżonego o wręczanie łapówek żonie byłego prezydenta kraju Yoon Sukyeola. W areszcie przebywa także matriarchini Kościoła Han Hakja, podejrzana o nielegalne finansowanie kampanii prezydenckiej. W tym samym czasie w Seulu aresztowano byłego pastora, podejrzanego o wieloletnie seksualne napastowanie kobiet ze swojej wspólnoty, którego dopuszczał się podczas 10 lat posługi.



fot. YouTube/ Screenshot

USA: łaska zboczeńca

– Wybaczam Wam – mówił na sali sądowej w Tacoma, w stanie Waszyngton, do rodziców molestowanych dziewczynek pastor Jordan Henderson.

Jordan Henderson, były nauczyciel szkoły podstawowej i wolontaryjny pastor, został uznany za winnego 12 z 13 zarzutów molestowania dzieci poniżej dwunastego roku życia. Ława przysięgłych w Pierce County Superior Court stwierdziła, że Henderson wykorzystywał swoją pozycję, dopuszczając się przestępstw wobec co najmniej czterech uczennic. Dochodziło do nich m.in. na terenie szkoły Evergreen Elementary w rejonie Gig Harbor. Wymiar kary zostanie ustalony dopiero podczas rozprawy w kwietniu br. Część rodzin ofiar już zapowiedziała działania cywilne wobec szkoły, która ich zdaniem nie zareagowała na niepokojące sygnały wystarczająco szybko.

Nigeria: porwać duchownego

Nigeria to jeden z najniebezpieczniejszych krajów dla duchownych i pracowników kościelnych – raportuje organizacja „Kościół w Potrzebie”.

W latach 2015-2025 uprowadzono tam co najmniej 212 katolickich księży. Z raportu „Wolność religijna na świecie 2025” wynika, że porwania miały miejsce w 41 z 59 katolickich diecezji Nigerii. Wiele z nich z plebanii, w drodze na nabożeństwo lub podczas podróży do odległych parafii. Spośród uprowadzonych duchownych 183 zostało uwolnionych lub zdołało uciec, 12 – zamordowano, a kolejnych trzech zmarło później w wyniku skutków uwięzienia. Ponadto, co najmniej sześciu było porywanych wielokrotnie. Z uwagi na ogromne wysiłki, jakie podejmują wierni zbierając pieniądze na okup, porwania duchownych stały się w Nigerii łatwym i bardzo dochodowym biznesem.

Hiszpania: porozumienie z Kościołem

Rząd Hiszpanii zawarł z kat. Kościołem porozumienie w sprawie odszkodowań dla ofiar seksualnego wykorzystywania przez duchownych.

Po latach niereagowania na nadużycia władze Hiszpanii zawarły porozumienie z Kościołem kat. Dzięki niemu ofiary mogą teraz zgłaszać swoje roszczenia nie tylko bezpośrednio do Kościoła, ale też za pośrednictwem ombudsmana – odpowiednika polskiego rzecznika praw obywatelskich. Będzie on badał sprawę i proponował formę reparacji, np. finansowych, moralnych i psychologicznych. Następnie propozycja będzie oceniana wspólnie z Kościołem i samą ofiarą. Zadośćuczynienia mają być wypłacane nawet wtedy, gdy nie można już prowadzić postępowań karnych z powodu przedawnienia lub śmierci sprawców. Ma to zapewnić sprawiedliwość i uznanie krzywd ofiar, które wcześniej nie mogły uzyskać rekompensat ze względu na przedawnienie zarzutów lub śmierć sprawców.

Kanada: dzielnice nie dla pedofila

Pedofil, były ksiądz, został objęty specjalnymi zakazami wstępu do części miasta po tym, jak kilkakrotnie „przypadkowo” napotkał jedną ze swoich ofiar.

Brian Boucher był duchownym m.in. w parafiach w LaSalle i Town of Mount Royal. Został pozbawiony święceń w 2020 r., kiedy sąd udowodnił mu wykorzystywanie seksualne dwóch chłopców. Od uzyskania zwolnienia warunkowego 23 lipca 2024 r. duchowny może przebywać na wolności, znajduje się jednak pod nadzorem wymiaru sprawiedliwości. Teraz komisja Parole Board of Canada (PBC) nałożyła na niego kolejną karę. Wprowadzono ją po tym, jak Boucher nibyprzypadkiem spotkał jedną ze swoich ofiar. Doszło między nimi do „kontaktu wzrokowego”. To wystarczyło, by PBC uznała, że może to potęgować traumę ofiary i zakazała duchownemu przebywania na obszarze dwóch dzielnic Montrealu.

eprasa.pl 54278aaac6

POLETKO PANA B.©

ŁASKA CZY SPRAWIEDLIWOŚĆ

Fundusz kościelny to żadna łaska, lecz elementarna sprawiedliwość. Zresztą korzystna dla państwa. Po II wojnie zabrano Kościołowi jego własność. Fundusz kościelny jest częściowym zwrotem majątku zagrabionego przez komunistów" – ogłosił ks. Janusz Chyła, doktor teologii, obecnie proboszcz parafii Chojnice, a nawet „kanonik gremialny kapituły kolegiackiej kamieńskiej". Zdumiewające, że doktor i kanonik gremialny, obeznany przynajmniej z grubsza z genezą i historią Funduszu Kościelnego (to nazwa własna, panie Chyła) – publicznie bredzi. Jakby adresował swe przesłanie wyłącznie do ciemnego ludu, który nie wie, że zagrabioną za komuny własność zwróciła Kościołowi – z naddatkiem! – działająca w latach 1989-2011 Komisja Majątkowa, wobec czego Fundusz Kościelny nie ma dziś racji bytu.

PYSIU PYSIU

Jan Paweł II wiedział. Ale na potrzeby jego beatyfikacji tę korespondencję ukryto" – donosi OKO.press. Pisaliśmy kiedyś, że Biblioteka Narodowa na długie lata ukryła przed światem zakupiony przez państwo polskie w roku 2008 zbiór kilkuset listów Wojtyły i jego przyjaciółki, filozofki Anny Teresy Tymienieckiej, która większość życia spędziła w USA. Dopiero po kanonizacji JPII dwaj dziennikarze Marcin Gutowski i Szymon Żyśko zyskali dostęp do tego ekskluzywnego zbioru. W ujawnionej korespondencji są dwa wątki. Jeden natury obyczajowej, bo Tymieniecka często kończy listy pieszczotliwym „Pysiu pysiu". Drugi poważniejszy – Jan Paweł II z pierwszej ręki, od przyjaciółki, wiedział o systemowym, wręcz mafijnym tuszowaniu pedofilii duchownych w USA. I poprzestał na modlitwie za małoletnie ofiary. Zupełnie jak w starej dziecięcej rymowance: „A dziad wiedział, nie powiedział, za to będzie w kozie siedział…". W tym przypadku jednak dziad nie trafił do kozy, tylko na ołtarze.

KÓŁKO I KRZYŻYK

Gdzie wyrzucać znicze ozdobione krzyżem, aby nie podpaść katolickim fanatykom? – zapytał na Facebooku Ryszard Cibor, wywołując ożywioną dyskusję. Padały w niej liczne przykłady rzekomej profanacji, jak do tej pory niedostrzeganej albo tolerowanej. Na cmentarzach piętrzą się góry śmieci – znicze, szarfy z wiązanek i chorągiewki ze znakiem krzyża, połamane krzyże wyrzucone podczas remontów czy stawiania nowych grobowców. Producenci niesprzedanych dewocjonaliów bynajmniej nie odnoszą ich z szacunkiem do najbliższego kościoła. A stare podręczniki i zeszyty do religii, usiane wręcz świętymi obrazkami? Trafia to wszystko do utylizacji, na makulaturę, na wysypiska – i żaden Bąkiewicz nie demonstruje w ich obronie. Niektórzy dyskutanci przypomnieli nawet smutny los krzyżyków używanych przy układaniu glazury, traktowanych jak odpad. A stara gra w kółko i krzyżyk – czy nie jest to prowokacja wobec katolików?

KRZYŻACY

Paranoja „krzyżowa" po incydencie w pomorskim Kielnie szerzy się jak epidemia. Sołtyska sąsiedniej wsi Bojano Agnieszka Bubacz zabłysła już na manifestacji pod szkołą w Kielnie, gdy złapała mikrofon i zagrzmiała, aż ziemia drżała. We własnej wsi też wytropiła profanację: ogłosiła, że neonowy napis „BOJANO", którym w grudniu udekorowano skwer, uwłacza stojącemu obok krzyżowi. Stoją tam też maszty z flagami i tablica kaszubska, ale neon zaprojektował Daniel Gaffke, radny gminy Szemud, i w niego wymierzyła armaty pani sołtys. Wkurzeni jej akcją (i dotychczasowym nieróbstwem) mieszkańcy zaczęli zbierać podpisy za jej odwołaniem. Lecz gdyński polityk Konrad Niżnik od Brauna skrzyknął pospolite ruszenie: MUREM ZA SOŁTYSKĄ. Wśród zbierających podpisy wrogów Bubacz – czyli wrogów krzyża – wytropił Ukraińca. To wystarczyło, żeby poszczuć zastępy Polaków katolików, którzy natychmiast zalali go hejtem i groźbami karalnymi. Gaffke to też niepolskie nazwisko, co innego Bubacz albo Niżnik. Albo Braun…



PROCES O MILION

Pan X, właściciel firmy budowlanej, podjął się – „na gębę", bez umowy na piśmie – zbudowania liceum dla warszawskiej parafii. Roboty ruszyły. Proboszcz płacił kolejne transze należności gotówką, nie zawsze w terminie. Przedsiębiorca wpadł w kłopoty, musiał zaciągać pożyczki. Jego kontrahent proboszcz zmarł w 2001 r. Następca, który objął parafię, postanowił pozbyć się wykonawcy. Może upatrzył sobie kogoś innego; w każdym razie dogadał się z panem X, że nie mają wobec siebie żadnych roszczeń. Oświadczenie tej treści przygotował ksiądz, a budowlaniec je podpisał, chyba w ramach pokuty za grzechy, bo niedługo potem umarł. Jego syn i spadkobierca uważa jednak, że ojciec złożył podpis *in blanco*, ufając sutannowym. Jak wyliczył syn, czarni są mu winni 1,2 mln zł, wobec czego wniósł sprawę do sądu. I przegrał, Sąd Okręgowy w Warszawie stwierdził bowiem, że podpis X-a jest autentyczny, co przesądza sprawę – informuje portal Prawo.pl. Nauczka dla wszystkich, którzy robią interesy z Kościołem: nic na gębę. Wszystko musi być precyzyjnie opisane w umowie, przewidziane co do najmniejszego szczegółu, skonsultowane z prawnikami. I żadnych przysiąg na krucyfiks.

COŚ DLA KOBIET

Pod koniec ubiegłego roku Parlament Europejski przyjął rezolucję ws. utworzenia mechanizmu solidarnościowego, z którego byłaby finansowana opieka aborcyjna dla kobiet pozbawionych prawa do aborcji (dotyczy to dziś skansenu złożonego z Polski i Malty). Wezwał też do uznania dostępu do bezpiecznej i legalnej aborcji za prawo człowieka, wpisane do Karty Praw Podstawowych UE. Na rezolucję rzucili się jak sępy eksperci bioetyczni Konferencji Episkopatu Polski, dowodząc, że jest bezprawna, bo o prawie aborcyjnym decydują państwa członkowskie (mogą więc, jeśli zechcą, karać kobietę np. dożywociem za przerwanie ciąży). Katoprawica gloryfikuje polską suwerenność, a jednocześnie szlocha, że Polki nie chcą rodzić dzieci. Tymczasem według badań z lat 2024-2025 to właśnie restrykcyjne prawo aborcyjne jest dla 75 proc. Polek główną przyczyną tego, że nie decydują się na dziecko. Boją się powikłań i śmierci z winy lekarzy, patrz los Izabeli z Pszczyny, Agnieszki z Częstochowy, Doroty spod Nowego Targu. Jak jesteście takimi bohaterami, katoprawacy płci męskiej, to ryzykujcie własne życie, nie cudze.

WETO DLA 35 PROC.

Zapowiadając weto do ustawy „o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu" (długa i głupia nazwa, wymuszona przez PSL, które nie może przełknąć „związków partnerskich"), Karol Nawrocki płynie pod prąd opinii publicznej. Za wprowadzeniem związków partnerskich dla osób tej samej płci opowiada się 62,1 proc. badanych. W tej grupie 30,6 proc. uważa, że osoby pozostające w takich związkach powinny mieć takie same prawa jak małżeństwa, 31,5 proc. natomiast popiera związki partnerskie z ograniczonymi prawami – informuje „Dziennik Gazeta Prawna" (patrz badanie CBOS dla „DGP"). Kolejne 35,1 proc. respondentów nie chce żadnych zmian w tej materii. Nawrocki zatem orientuje się wyłącznie na żelazno-betonowy elektorat katoprawicy, który – jak pokazują to prześmiewcze memy – wierzy, że osoby LGBT emitują tęczowe promienie, zabójcze dla tradycyjnych rodzin. Niespecjalnie opłaca mu się to politycznie, ponieważ obywateli nieheteronormatywnych jest w Polsce ok. 2 mln. Plus wielu „heteryków", którzy chcieliby zawrzeć związek luźniejszy niż małżeństwo.

eprasa.pl 54278aaac6



Zdaniem polskich samorządów, naród u nas przesiadł się z autobusów do samolotów.

Wykluczenie komunikacyjne to stan, kiedy mieszkańcy pewnego obszaru nie mają realnej możliwości korzystania z publicznego transportu zbiorowego. Bo po prostu nic tam nie jeździ. Albo jeździ raz dziennie, o szóstej rano, i to tylko w dni nauki szkolnej.

Według badań, do 20 proc. miejscowości w Polsce nie dociera dziś żaden publiczny transport. Kolejnych 20 proc. ma do dyspozycji szczątkową ofertę przewozową, często symboliczne kursy w dni robocze, z pominięciem weekendów i wakacji. Wykluczonych komunikacyjnie jest średnio około jedna trzecia Polek i Polaków. Stan taki uderza w uczniów, osoby starsze, ludzi bez prawa jazdy i tych, których nie stać na samochód. Uniemożliwia dojazd do pracy, lekarza czy urzędu.

PiS stworzyło w 2019 r. Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych. Dysponował on skromnymi środkami – 800 mln zł rocznie, które miały być „marchewką" dla województw i gmin, by same coś zorganizowały. W 2022 r. wykorzystano tylko 70 proc. tych pieniędzy. Jedynie cztery województwa zagospodarowały całą przyznaną pulę. Reszta wróciła do budżetu. Bo samorządy nawet nie składały wniosków. Teraz roczny budżet funduszu wynosi ponad 1 mld zł i na walkę z wykluczeniem komunikacyjnym samorządy zużywają prawie wszystko. Zaś na jedną z form transportu nawet więcej.

Już za parę lat...

Port Lotniczy Mazury Olsztyn, jak wskazuje nazwa, znajduje się w Szymanach. Szymany są od Olsztyna jakichś 60 kilometrów. Na lotnisku jest betonowy pas startowy mający 2,5 km i mogą tu lądować Airbusy i Boeingi. Jest i terminal, architektonicznie nawiązujący ponoć do żurawia w locie. Ma prawie 7 tys. mkw., jest więc przestronny, klimatyzowany, no i ma strefę dla VIP-ów.

Port w Szymanach jest w stanie obsłużyć rocznie pół miliona podróżnych, a taki ruch jest spodziewany za osiem lat. Przez kogo jest spodziewany i skąd mają być zwożeni pasażerowie, nikomu nie udało się dowiedzieć.

Budowa portu lotniczego w Szymanach kosztowała 205 mln zł. Unijny wkład – 121 mln zł, pozostałą kwotę dołożył samorząd wojewódzki. W 2024 r. do funkcjonowania lotniska Urząd Marszałkowski Województwa Warmińsko-Mazurskiego dopłacił 17,7 mln zł, a pełne roczne wsparcie od samorządu przekraczało 20 milionów. W zeszłym roku strata była większa, choć jeszcze niepoliczona. Lotnisko tracić musi, bo rentowność takich przedsięwzięć zaczyna się, gdy pasażerów jest rocznie więcej niż milion. A w 2025 r. z Szyman odleciało ok. 90 tys. podróżnych. Rok temu samorząd województwa wyasygnował z budżetu 22 102 560 zł na reklamę w samolotach LOT, które łączą lotnisko w Szymanach z Krakowem, latając na tej trasie dwa razy w tygodniu. Bilet lotniczy jednego podróżnego był subsydiowany przez włodarzy województwa kwotą 394 zł.

Badania wskazują, że w woj. warmińsko-mazurskim, które zamieszkuje ok. 1 350 tys. osób, wykluczenie komunikacyjne dotyczy ponad 40 proc. populacji, a na terenach wiejskich nawet 50-54 proc. Państwowy Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych w 2025 r. dofinansował tamtejszą komunikację autobusową kwotą 52,3 mln zł. Na wsparcie finansowe przewozów dla 500 tys. osób wykluczonych komunikacyjnie poszło więc niecałe dwa razy więcej niż na dotowanie 90 tys. pasażerów lotniska w Szymanach.

Kto straci więcej?

Skalę wykluczenia komunikacyjnego w woj. lubelskim szacuje się na 40 proc., czyli dotyka ok. 800 tys. ludzi. Sytuację ma poprawić Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych. W jego ramach w 2026 r. do województwa lubelskiego trafi z kasy państwa blisko 48 mln zł.

Tymczasem działalność portu lotniczego Lublin-Świdnik wygenerowała w roku 2024 aż 51,5 mln zł straty, to najwięcej niż kiedykolwiek odnotowało regionalne lotnisko w Polsce. Skumulowana strata za ostatnich pięć lat działalności to już ponad 156 mln zł. Rok w rok pokrywa ją właściciel, czyli województwo lubelskie. Strata każdorazowo jest wyższa niż kasa, którą państwo polskie zasila samorządy województwa na walkę z wykluczeniem komunikacyjnym.

W 2025 r. Port Lotniczy Lublin obsłużył dokładnie 471 101 pasażerów. Wiadomo jednak, że lotnisko zakończy kolejny rok stratą sięgającą kilkudziesięciu milionów złotych.

Od lat w branży lotniczej mówi się, że otwieranie lotnisk w mniejszych miejscowościach jest bez sensu. Niemcy mają 13 takich regionalnych portów, m.in. w Kassel, Rostocku i Lubece. Wszystkie generują straty od kilku do kilkunastu milionów euro rocznie. Ale Niemców stać na latanie bardziej niż mieszkańców wschodniej Polski.

Ale żeby i im się chciało latać, samorząd wojewódzki prowadzi kampanie promujące Lubelszczyznę aż z siedmioma przewoźnikami. Łączny koszt wynosi 12 mln zł. Tyle że to tylko oficjalny tytuł płacenia liniom lotniczym. Bo miliony idą na to, żeby liniom samolotowym chciało się chcieć tam lądować i startować.

Naklejki kreatywnej księgowości

Promocja województwa kujawsko-pomorskiego przez Ryanaira polega np. na umieszczaniu banerów i reklam dotyczących regionu zarówno na samolotach, jak i na naklejkach na pokładzie. Dodatkowo informacje z ofertą turystyczną są wysyłane do wybranej grupy odbiorców mailowo, w newsletterach czy za pomocą mediów społecznościowych. Za tę radosną twórczość przewoźnik otrzymuje od samorządu województwa kujawsko-pomorskiego 33 mln zł. Ba, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego ma podpisaną umowę z Polskimi Liniami Lotniczymi LOT wartości blisko 9 mln zł netto, a także umowę z WizzAirem za nieco ponad 12 mln zł netto.

Port Lotniczy w Bydgoszczy w 2025 r. odprawił około 430 tys. podróżnych. „Cieszy mnie, że Port Lotniczy Bydgoszcz konsekwentnie się rozwija i bije kolejne rekordy. To ważna informacja dla całego województwa kujawsko-pomorskiego. Lotnisko oznacza miejsca pracy, impuls dla gospodarki i jeden z kluczowych czynników wzrostu regionu. Liczymy na dalszy rozwój portu i kolejne dobre informacje, które będą wzmacniać jego pozycję" – raduje się w mediach marszałek województwa kujawsko-pomorskiego. I słusznie. Bo o ile działalność Portu Lotniczego Bydgoszcz w roku 2024 wygenerowała trochę ponad 61 tys. zł straty, to rok 2025 może być na lekkim plusie.

Eksperci są pełni uznania. Uważając, że księgowi urzędu marszałkowskiego i ci z lotniska są geniuszami, którzy w cudowny sposób pozdejmowali lotnisku koszty i powkładali je w poszczególne działki budżetu województwa. Tak jak to zrobiono z milionami złotych na promocję regionu.

Kujawsko-Pomorskie, choć ma 2 mln mieszkańców, a 44 proc. z nich dotyka wykluczenie komunikacyjne, może więc opowiadać, że – w przeciwieństwie do innych województw z małymi lotniskami nie dopieszcza osób, które walczą z wykluczeniem komunikacyjnym, latając samolotami.

Port Lotniczy Radom, znany również jako Radom-Sadków, tak naprawdę nazywa się Port Lotniczy Warszawa-Radom. Dzięki PiS nie jest już jednak samorządowy, ale państwowy, a straty jego pokrywają Polskie Porty Lotnicze. Dzięki temu personel zbudowanego za setki milionów złotych lotniska ma się gdzie nudzić, obsługując rocznie tyle osób, ile przepuszcza Okęcie przez półtora dnia. Ale za to Radom może się pochwalić, że w czasie mrozów nie odwołano tam żadnego lotu. Bo nic nie odlatywało.

Mamy więc sytuację, że lotniska regionalne przynoszą straty, ale polskie samorządy wciąż wierzą, że lepiej dotować lotnictwo niż inne środki transportu. Na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, w czasie kiedy upadały kolejne pekaesy, a widzowie i czytelnicy poznawali tragiczne historie mieszkańców polskiej prowincji pozbawionych dostępu do podstawowych usług, polskie samorządy wydawały i wydają setki milionów złotych na rozwój lokalnych portów lotniczych. Latają nimi wyłącznie ci niewykluczeni komunikacyjnie. No i urzędnicy, którym za bilety płaci delegujący. Oraz posłowie, którzy latają darmo. Może dlatego, że mieszkańcy wiosek odciętych transportowo nie mają jak na takie lotniska dojechać.

Stefan Płonicki

eprasa.pl 54278aaac6

Owcze dzwonki



Zło nie odpuszcza, demony czyhają. Walka z nimi trwa w Kościele katolickim od lat.

Dlatego zacni biskupi w diecezji włocławskiej zabrali się do porządków, by skończyć z diabelnymi, czyli świeckimi, praktykami. Przede wszystkim z tymi w… kościołach.

Komu bije dzwon

Ludzie już tak dziwnie mają, że nawet jak nie wierzą, to uwielbiają dzwony, kadzidła i całą tę wielką kościelną pompę. Dlatego jak ślub, to kościelny, do całej tej wielkiej oprawy dodany jest ksiądz uzbrojony w swoją liturgię. Wprawdzie dzisiaj już żona nie obiecuje mężowi, że będzie mu posłuszna, ale dobrodziej i tak zrobi wszystko, żeby kobieta poczuła się jak użyteczny mebel. Na jednym ślubie pani narzeczona musiała wysłuchać, jakie to jej mąż ma szczęście, bo od dzisiaj będzie miał w domu posprzątane. (Serio. Było to przed rokiem, a szczęśliwa narzeczona omal nie wybiegła z płaczem z kościoła). Więc młodzi kombinują, jak ten pakiet religijny choć trochę przemodelować i po swojemu ułożyć własny ślub. Ponieważ popkultura rządzi, naoglądali się filmów, gdzie ksiądz to miły facet, który kocha ludzi, więc raz po raz proszą o puszczenie swych ulubionych piosenek. I tak zakazana została piosenka Eda Sheerana o miłości („Perfect”); pewnie dlatego, że porównał w niej swoją wybrankę do anioła. Koniec tego: ma być po bożemu! Ksiądz opowie, po co młodzi się żenią, wszak wie to najlepiej – a organista im ładnie zagra.

Dla rozczarowanych narzeczonych mam jeden komentarz: widziały gały co brały. Jak się chce dzwonów i kadzideł, to trzeba też w pakiecie wysłuchać kazania. Kulturowi katolicy nabijają Kościołowi kabzę, statystykę wiernych, a przy okazji dają się wciągać w różne wytyczne. Potem zaś dziwią się, że miało być miło i ładnie, a wyszło jak w średniowieczu.

Przyglądając się ostatnim małym awanturkom o oprawę kościelnych ślubów można dostrzec, że największym problemem są właśnie kulturowi katolicy. Nie fanatycy, ci bowiem razem z Braunem i innymi „jeźdźcami nienawiści” znajdują się na marginesie. Do tego są bardzo przewidywalni, a co za tym idzie, łatwi w obsłudze. Podobnie z katolickimi „intelektualistami”. Ci analizują św. Tomasza pochłonięci niewidzeniem i niedoczytywaniem tych kawałków z jego opasłych dzieł, które świadczą o jawnej mizoginii czy nienawiści do wszystkiego, co inne i obce. Z katolickimi intelektualistami zawsze można sobie miło porozmawiać, przypominając im wszystkie te kawałki z biblii, ewangelii czy innych ukochanych tekstów, gdzie pełno jest przemocy i nienawiści. Wówczas zaleją nas potokiem sofistycznej gry, z której dowiemy się, że bóg nas tak kocha, że musi wręcz nas katować.

Człowiek człowiekowi dzwonem

Największy problem jest ze wspomnianymi kulturowymi katolikami. Ci niby wierzą, ale nie wiedzą w co, a w zasadzie to nie wierzą, ale skoro mama kazała, a babcia coś obiecała, to oni na wszelki wypadek wezmą ślub w kościele. Dzieciaka też ochrzczą, żeby nie było gadania w rodzinie i po sąsiadach. Tak naprawdę to spora grupka cyników, którzy za nic mają wartości, tylko idą za głosem stada, za pewnym kulturowym nastrojeniem; bez refleksji komu dają na tacę i w jakiej grupie społecznej umieszczeni są w statystyce.

Mocne struktury Kościoła katolickiego w Polsce oparte są na obojętności i bierności kulturowych katolików, którzy bardzo często zdają sobie sprawę, że przynależą do niemoralnej instytucji, ale nie widzą potrzeby, by cokolwiek z tym zrobić. Konformizm to chodzenie utartymi ścieżkami wyznaczonymi przez innych, nawet jeżeli się przeczuwa, że nie prowadzą one do niczego dobrego, a przewodnicy już dawno się zagubili. Potrzeba dostosowania się i niewychylania, życia podług zasady robienia tego samego, co robią inni. Owczy pęd…

Gdyby w kościele mieli pozostać tylko wierni, którzy autentycznie wierzą (potrafią uzmysłowić sobie posadowienie swojego wyznania w czasie, myśli filozoficznej, odnieść zasady do etyki), a nie przychodzą do kościoła, bo inni patrzą, bardzo szybko skończyłby się złoty okres Watykanu w Polsce. I tak mamona piewców Pana od stuleci cudownie się rozmnaża, a Kościół ma swoich wiernych, czasami niewiernych-wiernych, którymi może rządzić, skutecznie mieszając im w głowie.

Jeśli z kranu płynie zatruta woda, najpierw należy zakręcić kurek. Pierwszym zauważalnym efektem tego kroku będzie zdanie sobie sprawy z tego, że najpiękniejsze piosenki o miłości wcale nie płyną z ust organisty.

prof. Joanna Hańderek

Składka na „kwadrat” dla księdza

„Może niech księża sprzedadzą swoje drogie i nowe samochody (…), żeby dokładać się do budowy. Wstyd!” – tak parafianie z Miastkowa Kościelnego przyjęli informację o 800 zł składki na budowę nowego domu parafialnego.

Po załatwieniu wszystkich formalności urzędowych planujemy w tym roku rozpocząć budowę Domu Parafialnego. Będzie on służył całej parafii i pracującym księżom w parafii. Będzie on darem dla przyszłych pokoleń zamieszkałych na tym terenie. (…) Od Rynku są 2 mieszkania, jedno dla ks. wikariusza, drugie dla ks. seniora. Od strony żłobka z oddzielnym wejściem jest zaprojektowana sala parafialna z zapleczem, kancelaria z archiwum, magazyn Caritas. Budynek jest parterowy (…)” – czytamy na stronie parafii pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Miastkowie Kościelnym (woj. mazowieckie).

Zapisy „ofiar”

Proboszcz ks. Ireneusz Głowacki zaprasza też do oglądania makiety budynku. Projekt został już zatwierdzony przez komisję Kurii Diecezjalnej w Siedlcach, a obecnie trwają prace nad dokumentacją niezbędną do uzyskania zgód na budowę. Nie ma tylko pieniędzy…

„(…) Na zebraniu Rady Parafialnej ustalono, aby w miarę możliwości każda rodzina w ciągu całego roku złożyła ofiarę na ten cel w wysokości 800 zł. Jest to ofiara razem z ofiarą kolędową. Można ofiary składać w kilku ratach, można i w całości. Oczywiście jest to prośba. Będziemy wdzięczni za każdą ofiarę mniejszą czy większą. Dla porządku ofiary składane przez rodziny będą zapisywane w specjalnych zeszytach (…)” – pisze dalej ksiądz.

Informację powielono w mediach społecznościowych Sołectwa Miastków Kościelny. Tam parafianie dali upust temu, co myślą o budowie i sposobie jej finansowania.

Wiara w portfele

„Nie zgadzam się na finansowanie budowy nowego domu parafialnego przez parafian w formie narzuconych, przymusowych wpłat. To jest absolutnie niedopuszczalne. Składka ustalona przez księdza proboszcza i radę parafialną jest zdecydowanie za wysoka, szczególnie biorąc pod uwagę realia naszej gminy, gdzie ogromną część mieszkańców stanowią emeryci i osoby starsze. Wpłaty na cele parafialne powinny być dobrowolne, a nie wymuszane presją moralną czy społeczną. Jeśli parafii nie stać na tak kosztowną inwestycję, należy dostosować skalę budowy do realnych możliwości wspólnoty, a nie obciążać ludzi ponad ich siły. Chrześcijaństwo uczy skromności, pokory i wrażliwości na drugiego człowieka, a nie stawiania kosztownych budynków kosztem parafian, którzy często ledwo wiążą koniec z końcem. To, co dzieje się w Miastkowie stoi w rażącej sprzeczności z tymi wartościami (…)” – brzmi jeden z komentarzy.

„Kościół jest pełen wiary. Wiary w pełne portfele wiernych i niekoniecznie w ich rozsądek”. „A to taka willa potrzebna co tam ksiądz będzie religii uczył czy bezdomnych karmił?”. „Przepraszam bardzo, ale moja matka musi mieć pieniądze na leki i ogrzewanie i nie pozwolę,



fot. Facebook/Screenshot

żeby były od niej wymuszane pieniądze na zbędne budynki! Może niech księża sprzedadzą swoje drogie i nowe samochody oraz zatrudnią się na zwykły etat żeby samemu dokładać się do budowy. Wstyd! Całe to towarzystwo powinno być przepędzone. Miastków potrzebuje kogoś z powołaniem, a nie starych chciwych klechów!”. „A sąsiednia parafia Wilczyska; ks. Gromek wybudował kościół po spalonym w 1954r., plebanię, organistówkę dwie kaplice na wioskach i nie ogłosił jakiegoś obowiązkowego opodatkowania, a jedynie z dobrowolnych ofiar i kolędy, to tak dla przypomnienia dawnym parafianom Wilczysk” – piszą parafianie.

Ksiądz Głowacki nie chce komentować sprawy i odsyła do treści zamieszczonych w ogłoszeniach parafialnych. Wygląda więc na to, że zbiórka będzie trwała bardzo długo, bo w końcu „chodzi o to żeby zbierać, a nie zebrać i skończyć zbieranie”. Czyż nie tak?

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl 54278aaac6

Pytania dotyczące Biblii (223)

W obronie krzyża



Kolejny raz doszło do niepotrzebnego zamieszania związanego z krzyżem. 15 grudnia 2025 r. w szkole podstawowej w Kielnie nauczycielka miała zdjąć ze ściany krzyż i wrzucić go do kosza.

Niepotrzebnego, bo – według nauczycielki – w sali lekcyjnej, w której prowadzi zajęcia, krzyż nigdy wcześniej nie wisiał. Jej zdaniem, bardziej przypominał plastikową zabawkę wydrukowaną na drukarce 3D, którą dzieci przyniosły do szkoły, a nawet się nią bawiły („FpM” 3/26).

Reakcja

Tłumaczenia nauczycielki, że jej intencją nie było godzenie w czyjekolwiek uczucia religijne, nie pomogły. Od razu została oskarżona o profanację krzyża i w tej sprawie złożone zostało także zawiadomienie do prokuratury. Głos zabrała nawet ministra edukacji narodowej Barbara Nowacka, która w TVN24 powiedziała m.in., że to „błąd, który nie powinien mieć miejsca w szkole”.

W czwartek 8 stycznia pod szkołą w Kielnie zorganizowana została manifestacja „w obronie krzyża”. Głos w tej sprawie zabrał również kard. Grzegorz Ryś, który podkreślił, że „podstawowym zadaniem szkoły jest nie tylko przekazywanie uczniom wiedzy, lecz także wychowanie ich”, w duchu tolerancji, kultury i poszanowania przekonań drugiego człowieka. Na koniec podziękował wszystkim, którzy odważnie stanęli w obronie krzyża. Hierarchowie Kościoła oczekują teraz od władz państwowych zdecydowanych działań na rzecz zagwarantowania szacunku do ich symbolu wiary.

Co o tym wszystkim sądzić, o reakcji otoczenia, jak i samym kulcie krzyża? Czy rzeczywiście jest on najstarszym symbolem chrześcijaństwa i europejskiej kultury, jak głosi Kościół katolicki?

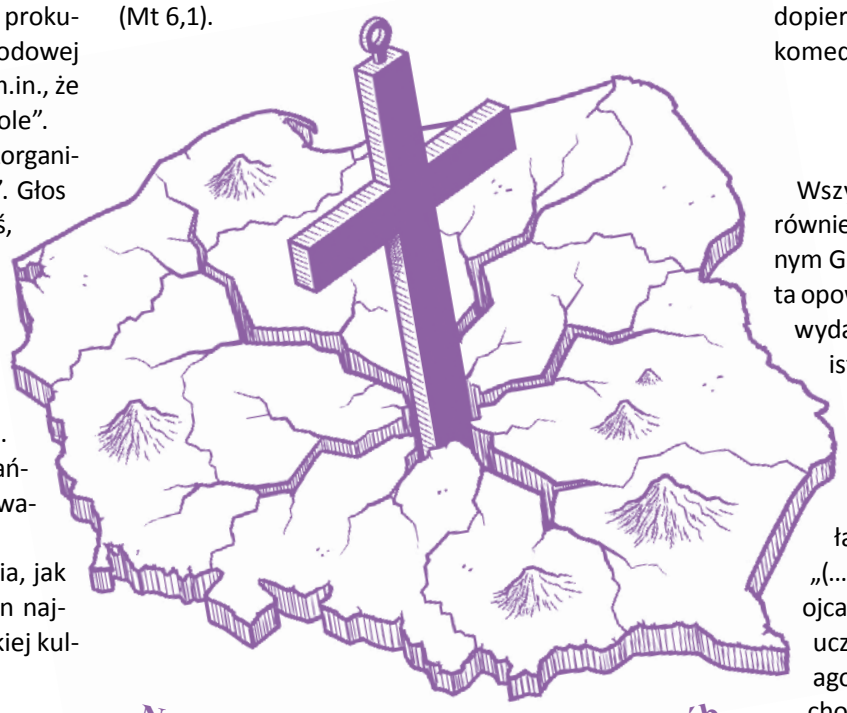
W świetle Biblii

Chociaż obrońcy krzyża zazwyczaj odwołują się do Biblii i najstarszej tradycji, a nawet do humanistycznego charakteru krzyża, prawda jest taka, że jego kult nie ma nic wspólnego ani z Biblią, ani z liturgią pierwszych wyznawców Chrystusa, ani nawet z humanistycznym charakterem. Na czym opieram to stanowisko? Przede wszystkim na niezaprzeczalnym fakcie, że krzyż nie mógł być przedmiotem kultu religijnego wyznawców Chrystusa, ponieważ Biblia wyraźnie, dobitnie i wielokrotnie zabrania tworzenia oraz adoracji jakichkolwiek wizerunków. Przykładem niech będą tu dwa teksty Tory: „Nie czyń sobie żadnej rzeźby ani żadnego obrazu…” (Wj 20,4 BT) oraz „Przeklęty mąż, który zrobi podobiznę rzeźbioną lub laną, obrzydliwość dla Pana” (Pwt 27,15).

Gdyby więc Kościół katolicki rzeczywiście respektował przykazania Dekalogu, nie byłoby żadnego problemu z krzyżem w jakimkolwiek miejscu. Niestety, Kościół usunął drugie przykazanie Dekalogu (nie ma go w wersji katechizmowej), zakazującego właśnie tworzenia i czczenia wizerunków. Następnie zaś, aby zachować pełną liczbę Dziesięciorga Przykazań, rozdzielił dziesiąte przykazanie, zabraniające pożądliwości, na dwa osobne – dziewiąte i dziesiąte.

Biblijnego uzasadnienia nie ma również odwoływanie się do tradycji Kościoła. Chrystus nauczał bowiem, że podstawą wiary ma być słowo Boże, a nie nauki ludzkie. Do ówczesnych przywódców duchowych powiedział tak: „Ten lud czci Mnie wargami, lecz sercem swym daleko jest ode Mnie. Ale czci Mnie na próżno, ucząc zasad podanych przez ludzi. Uchyliliście przykazania Boże, a trzymacie się ludzkiej tradycji. (…) I znosicie słowo Boże przez waszą tradycję, którąście sobie przekazali” (Mk 7,6-8.13, BT).

Poza tym, naganne jest także uzewnętrznianie w sposób ostentacyjny i nachalny jakiejkolwiek formy kultu religijnego. Wszak Jezus wyraźnie powiedział: „Baczcie, byście pobożności swojej nie wynosili przed ludźmi” (Mt 6,1).



Naganne jest uzewnętrznianie w sposób ostentacyjny i nachalny jakiejkolwiek formy kultu religijnego. Wszak Jezus wyraźnie powiedział: „Baczcie, byście pobożności swojej nie wynosili przed ludźmi” (Mt 6,1).

W świetle faktów

Co więcej, faktem również jest, o czym Kościół katolicki woli nie wspominać, że od najdawniejszych czasów krzyż był symbolem kultów solarnych. „Kształt dwuramiennego krzyża wywodzi się ze starożytnej Chaldei, gdzie był symbolem boga Tammuza (przypominał kształtem mistyczne Tau, inicjał jego imienia), podobnie zresztą jak w innych okolicznych krajach z Egiptem włącznie. Do połowy III w. po Chrystusie, Kościoły albo już odstąpiły od niektórych nauk wiary, albo je pozmieniały. Chcąc podnieść prestiż odstępczego systemu kościelnego, zaczęto przyjmować do Kościołów pogan (…) i bardzo często pozwalano im zatrzymać dotychczasowe pogańskie znaki i symbole. Z tego powodu przyjęto również Tau (czyli T) w najczęściej spotykanej postaci z obniżoną poprzeczką jako wyobrażenie krzyża Chrystusowego” (W.E. Vine, „An Expository Dictionary of New Testament Words”, Londyn 1962, s. 256).

„Ten bogaty w treść symbol, występował w Eurazji, Afryce i Ameryce (…). Już w epoce neolitu spotykamy go około 2000 r. p.n.e. na glinianych walcach, a w Asyrii jako symbol słońca. Wiele przemawia za tym, że w rejonie śródziemnomorskim punktem wyjścia wędrówki krzyża był staroegipski symbol-hieroglif życia, *ankh*. To duże *t*, z uchwytem u góry, zwane krzyżem z uchwytem” („Leksykon religioznawczy”, Warszawa 1988, s. 141).

Nie jest też tak – jak twierdzą obrońcy krzyża – że do jego kultu przyczynił się cesarz Konstantyn, który rzekomo przed bitwą przy Moście Mulwijskim w 312 r. ujrzał na niebie krzyż z napisem: „Pod tym znakiem zwyciężysz”, po czym miał nakazać swoim żołnierzom umieścić na tarczach znak krzyża. Oto jak skomentował to ks. prof. Mieczysław Żywczyński: „Tak brzmi owo proste opowiadanie i tak nas uczono, chociaż nie ma w nim ani jednego prawdziwego zdania. Wszystko jest nieprawdą” („Kościół i społeczeństwo pierwszych wieków”, Warszawa 1985, s. 154). Warto także dodać, że cesarz Konstantyn był poganinem, którego ochrzcił dopiero na łożu śmierci biskup ariański Euzebiusz z Nikomedii, a nie duchowny katolicki.

Historia Gedeona

Wszystkim oskarżycielom o profanację krzyża radzę również, aby zapoznali się z kultową opowieścią o biblijnym Gedeonie (Sdz 6). Być może jednak ktoś zapyta, co ta opowieść ma wspólnego z krzyżem. Na pozór bowiem wydaje się, że niewiele. Pewne podobieństwa jednak istnieją. Ponieważ oto, jak lud Izraela sprzeniewierzył się Bogu i pogrążył w bałwochwalczym kulcie Baala, tak samo w bałwochwalstwie pogrążony jest katolicyzm.

Ale to nie wszystko. Kiedy bowiem Bóg powołał Gedeona i przez swego posłańca rzekł do niego: „(…) Rozwal ołtarz Baala, który należy do twojego ojca, i zetnij słup, który jest przy nim (…). Gedeon (…) uczynił jak, mu powiedział Pan” (6,25.27). A jak zareagowali na to mieszkańcy? Po przeprowadzonym dochodzeniu, od razu zażądali kary śmierci dla sprawcy, czyli Gedeona. Wtedy jednak odezwał się jego ojciec: „Czy chcecie walczyć o Baala, czy chcecie go ratować? (…) Jeżeli jest bogiem, niech sam o siebie walczy, przecież to jego ołtarz został zburzony” (6,31,). W ten sposób przekonał mieszkańców i zapobiegł nieszczęściu.

Tak więc, chociaż nikogo nie namawiam do niszczenia symboli religijnych, ani tego nie pochwalam, to jednak z całym naciskiem należy podkreślić, że nawet jeżeli w ocenie innych nauczycielka popełniła błąd, to „błędem, który nie powinien mieć miejsca w szkole”, jest również obecność krzyża w miejscu publicznym, odwoływanie się do prokuratury i manifestacje w jego obronie. Zwłaszcza że krzyż łaciński nie jest „symbolem europejskiej kultury i jej humanistycznego charakteru”. Jest on bowiem symbolem niezliczonych zbrodni, wypraw krzyżowych i militarnych podbojów kolonialnych, w tym zbrodni zakonu krzyżackiego na ziemiach polskich.

Bolesław Parma

eprasa.pl 54278aaac6

Spod kardynalskiego kapelusza

Nowa obrona Jasnej Góry

Sanktuarium maryjne na Jasnej Górze w Częstochowie od wieków jest wyjątkowym miejscem. Dla polskich katolików świętym, gdyż to tam od blisko siedmiu wieków zdeponowany jest obraz Czarnej Madonny.



Mowa o ikonie pochodzącej z Bełżca, która w 1382 r. została ofiarowana pustelnikom z zakonu paulinów przez księcia Władysława Opolczyka. Tych z kolei tenże książę sprowadził z Węgier i ofiarował im wzgórze, zwane obecnie Jasną Górą. Sam fundator tego wyjątkowego miejsca to postać niezwykle kontrowersyjna. Był ojcem chrzestnym władcy litewskiego Jagiełły, który po przyjęciu chrztu otrzymał imię Władysław (po swoim ojcu chrzestnym), a następnie – już jako małżonek królowej Jadwigi Andegaweńskiej – panował w Polsce jako król Władysław Jagiełło. Fundator Jasnej Góry wielokrotnie wspierał śmiertelnych wrogów swojego chrześniaka, zakon krzyżacki, a także króla czeskiego Jana Luksemburczyka i innych politycznych oponentów założyciela dynastii Jagiellonów w Polsce. Dziś, po blisko siedmiu wiekach, warto przypominać zapomniane karty historii tego wyjątkowego miejsca.

Brudna biel habitów

Sanktuarium maryjne w Częstochowie – ze względu na walory architektoniczne oraz istotne dla dziejów naszego narodu wydarzenia historyczne – to także wyjątkowe miejsce dla niewierzących. Charakterystyczne białe habity paulinów stały się przez wieki niemal symbolem Jasnej Góry. Dla większości Polaków zakonnicy, którzy ślubują ubóstwo i wywodzą się z zakonu pustelniczego, już z samego założenia powinni być wzorem skromności i ubóstwa. Jednak wielowiekowa historia tych mnichów temu zaprzecza, gdyż jasnogórski klasztor stał się z czasem nie tylko siedzibą generała zakonu, ale także zgromadzono tam niewyobrażalny majątek.

Zwiedzającym udostępniona jest jedynie skromna część skarbca Jasnej Góry. A jak to często bywa, nadmierny majątek z czasem demoralizuje nawet najbardziej pobożnych mnichów. Nawet takich, którzy mają pustelnicze korzenie. Tym bardziej, gdy majątkiem trzeba na co dzień zarządzać, no i go pomnażać…

Jasna Góra stała się dla większości polskich katolików miejscem wyjątkowym i świętym, taką maryjną stolicą kraju. Tym bardziej, że przez wieki najsłynniejsi polscy hierarchowie, z polskim papieżem Janem Pawłem II czy prymasem Polski kard. Stefanem Wyszyńskim, podtrzymywali mit jej wyjątkowości. Spowodowało to, że ojcowie paulini mogli sobie pozwolić na wiele więcej niż inni zakonnicy. Mordy, kradzieże, skandale obyczajowe z ich udziałem, a także kompromitujące kontakty z przedstawicielami władzy – czy to w czasach zaborów, czy drugiej wojny światowej – były skutecznie ukrywane przed wiernymi, zarówno przez samych zakonników, jak i ich kościelnych i politycznych protektorów. I to także skutecznie demoralizowało gospodarzy Jasnej Góry, bo bezkarność jest równie szkodliwa, jak odziedziczona fortuna. I nie zmieni tego ani biel pustelniczych habitów, ani świętość miejsca.

Mekka chuliganów

Od kilkunastu lat Jasna Góra znowu stała się miejscem budzącym kontrowersje. Za zgodą jej kościelnych gospodarzy, najważniejsze dla polskich katolików sanktuarium maryjne stało się polityczną Mekką dla nacjonalistów, narodowców, kiboli i zwykłych chuliganów. To tam się cyklicznie spotykają, a ich zachowanie (odpalane race, transparenty, nienawistne wypowiedzi) nie ma nic wspólnego z wiarą czy kultem maryjnym. Także postawa samych zakonników nie pozostawia żadnych wątpliwości, że w pełni akceptują te praktyki. Ba! Popierają je i do nich zachęcają.

Za zgodą jej gospodarzy Jasna Góra jest też od wielu lat wykorzystywana do politycznej agitacji, bo jak inaczej można oceniać sytuacje, gdy podczas religijnych uroczystości pozwala się określonym politykom polskiej prawicy wygłaszać z kościelnych ambon nasączone propagandą przemówienia. I zawsze sączy się ona tylko z jednej politycznej strony. Także ostatnie dni stały się dowodem na upolitycznienie tego historycznego miejsca i przykładem moralnego upadku jego gospodarzy.

Po raz kolejny ojcowie paulini weszli w bieżącą politykę, czerpiąc z tego doraźne korzyści. Prezydent Karol Nawrocki, pod pretekstem pielgrzymki, spotkał się tam z setkami kiboli z całego kraju („FpM” 3/26). Nie kibiców, ale stadionowych chuliganów, którzy po raz kolejny sprofanowali to miejsce swoim zachowaniem, transparentami i wypowiedziami. Mało tego. Za zgodą samego prezydenta, bo trudno sobie wyobrazić, żeby mogło być inaczej, na terenie klasztoru, w jego zabytkowych wnętrzach doszło do spotkania głowy państwa z najważniejszymi liderami kiboli. Nagranie przedstawiające ich obustronne umizgi trafiło do mediów i internetu. Nie pozostawia ono żadnych wątpliwości, że zarówno pan prezydent jak i liderzy grup stadionowych chuliganów, to bliscy znajomi. Bo jak wytłumaczyć, że zwracali się do siebie po imieniu i witali wylewnie; zupełnie nie tak, jak wymaga tego etykieta przy spotkaniach z głową państwa.



fot. Ilustracja AI

Najbardziej szokują tutaj dwa fakty. Pierwszy, że dziennikarze analizujący nagrania z tego spotkania dostrzegli wśród przyjaciół naszego prezydenta osoby mające kryminalną przeszłość, które zostały skazane na kilkuletnie odsiadki. Byli tam także osobnicy znani od lat policji z chuligańskich wybryków na stadionach, a także z licznych bójek organizowanych poza obiektami sportowymi. Drugi – wszystko wskazuje na to, że w tych potyczkach brał kiedyś udział sam pan prezydent. Co zresztą potwierdzał w wywiadach i – co gorsza – nie widział w tym niczego nagannego.

Czas refleksji

Jasna Góra w ciągu blisko siedmiu wieków swojej historii była niemym świadkiem wielu ważnych wydarzeń historycznych. Była oblegana przez naszych wrogów, bohatersko broniona przez obrońców ojczyzny, ale była także miejscem licznych skandali obyczajowych z udziałem zarówno samych braci zakonnych, jak i ludzi, których paulini gościli w klasztorze.

Polscy katolicy traktują jasnogórski klasztor paulinów jako miejsce święte, najważniejsze sanktuarium maryjne w kraju, a matkę Jezusa, widniejącą na znajdującym się tam obrazie, jako Królową Polski. I dobrze. Każdemu człowiekowi wolno wierzyć w to, co dyktuje mu jego sumienie. Jednak trudno nie zadać w tym momencie naszym rodakom, gorliwym wyznawcom maryjnego wizerunku pytania: gdzie jest ich katolickie wrażliwe sumienie, gdy to wyjątkowe miejsce jest bezczeszczone przez ludzi niegodnych?.

Może zamiast bezkrytycznie wsłuchiwać się w jednostronny przekaz kościelnych gospodarzy tego miejsca, warto zadać sobie trochę trudu i zapoznać się także z przykładami gorszącego zachowania w tym miejscu ludzi Kościoła. Dochodzi do nich nadal, czego dowodem jest ostatnia „pielgrzymka” naszego prezydenta.

Tak więc, bracia i siostry katolicy, czas najwyższy na nową obronę Jasnej Góry…

Andrzej Gerlach

eprasa.pl 54278aaac6

Wyroki, które opowia

Czy z trybunałami europejskimi, czy bez, Polska jest Polską, a Polak Polakiem.

Złośliwi mogliby powiedzieć, że Europejski Trybunał Praw Człowieka (ETPC) stał się u nas czymś w rodzaju zewnętrznego rzecznika sumienia – bo wewnętrzni, odpowiedzialni za to, by państwo działało jak należy, czasem wolą zamknąć oczy, usiąść na dłoniach i udawać, że nic się nie wydarzyło. A dzieje się sporo.

Matka, której państwo kazało czekać

Historia zaczyna się jak tysiące podobnych. L.D. urodziła dziecko w 2006 r. Z jego ojcem była w związku do 2011 r. Rozstali się bez fajerwerków, bez odbierania praw, bez dramatycznego: „pozbawia się władzy rodzicielskiej". Ojciec miał ustalone kontakty. Państwo uznało, że wszystko jest pod kontrolą. Do marca 2011 r. Wtedy ojciec dziecka po prostu go nie oddał. Od tego momentu zaczęła się wieloletnia wędrówka po sądach. Sprawa toczyła się latami. Kuratorzy pisali sprawozdania. Biegli sporządzali opinie. Sądy wydawały kolejne postanowienia. A dziecko – rosło. Z dala od matki.

Trybunał w Strasburgu nie miał złudzeń co do kontekstu: konflikt między rodzicami był ostry, niechęć obustronna, a zachowanie mężczyzny dalekie od lojalnej współpracy z wymiarem sprawiedliwości. Ojciec nie zawsze stosował się do orzeczeń, robił to wybiórczo, czasem wcale. Ale – i to jest kluczowe – to nie on miał narzędzia przymusu. To nie on dysponował policją i aparatem państwa. Polska, broniąc się przed Trybunałem, mogła uznać jedno: nie byliśmy bezczynni. I formalnie to prawda. Coś się działo. Toczyły się postępowania. Zapadały decyzje. Wydawano orzeczenia. Problem w tym, że – jak zauważył ETPC – to wciąż było za mało. Bo art. 8 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka nie wymaga od państwa, by coś robiło. Wymaga, by robiło skutecznie. Nakłada pozytywny obowiązek realnej ochrony życia rodzinnego, a nie tylko jego administracyjnego symulowania.

Dziecko, które miało wrócić, przyzwyczajało się do nowej rzeczywistości. Relacja z matką ulegała erozji. A w 2019 r., po ośmiu latach od zatrzymania dziecka przez ojca, Sąd Rejonowy w Zduńskiej Woli wydał prawomocne orzeczenie pozbawiające L.D. prawa do opieki. Państwo nie tylko nie naprawiło skutków pierwotnego naruszenia. Ono je usankcjonowało. Trybunał 13 lutego 2025 r. uznał pogwałcenie art. 8: państwo nie zrobiło prawie nic. A właściwie zrobiło: – oddzieliło matkę od dziecka. Za to zaniedbanie zasądził na rzecz L.D. 10 tys. euro zadośćuczynienia oraz 2 469 euro tytułem zwrotu kosztów postępowania. Kwotę, która dla budżetu państwa jest niczym, a dla skarżącej potwierdzeniem, że przez lata nie była przewrażliwiona, roszczeniowa ani „konfliktowa".

Sąd, który istniał tylko w teorii

Anna Bona próbowała wygrać swoją sprawę cywilną. Zwykłą, ludzką. Kiedy wniosła sprawę do sądu, nie spodziewała się, że wpadnie w tunel, którego końca nie zobaczy przez lata. W świecie, gdzie sanatoria pilnują kuracjuszy skuteczniej niż polskie sądy terminów – nic dziwnego, że poczuła się jak pacjentka z Lądka-Zdroju, zamknięta na noc w budynku bez personelu i czekająca, aż strażacy wywalą drzwi, żeby mogła wyjść na wolność. Bo sprawa cywilna toczyła się przed polskimi sądami powszechnymi od maja 2014 r. do końca stycznia roku 2023. Łącznie sądom rozpatrywanie sprawy pani Anny zajęło 8 lat, 8 miesięcy i 11 dni.

Brak środka odwoławczego. Brak realnego dostępu do sądu. W końcu brak nadziei. A kiedy Bona poszła do ETPC, ten 13 lutego 2025 r. stwierdził, że Polska nie zapewniła pani Annie prawa do sądu ani do skutecznej skargi. To nie był błąd – to system. Za tę proceduralną wieczność zasądzono na rzecz pani Anny 4 450 euro. Rekompensatę za czas stracony w sądzie, którego drzwi były nie zawsze otwarte, a sprawiedliwość jakby nieobecna.

Nauczyciel, któremu kazano mówić szeptem

K.P. był nauczycielem. W kraju, gdzie duchowny może w internecie krzyczeć że prezydent jest „baranem", „tchórzem" i „agentem śpiochem", a mimo to nie traci pracy, nauczyciel nie miał tyle szczęścia. Wystarczył internet, a polskie państwo odpaliło dyscyplinarkę. Żadnego przestępstwa. Żadnych ofiar. Tylko słowa, które komuś się nie spodobały. Bo po godzinach belfer prowadził blog przeznaczony wyłącznie dla dorosłych. Zawierał treści erotyczne, w tym opisy relacji homoseksualnych. Nie był powiązany ze szkołą. Nie był promowany wśród uczniów. Nie był elementem programu nauczania. Dostęp do niego był formalnie ograniczony – czytelnik musiał potwierdzić pełnoletność. Mimo to blog miał tysiące odbiorców. Wśród nich – co ustalono później – byli także niektórzy uczniowie i koledzy K.P. z pracy.

Wszczęto postępowanie dyscyplinarne. Podstawą prawną był artykuł 6 Karty Nauczyciela, mówiący o obowiązku „kształtowania postaw moralnych i obywatelskich" oraz o przestrzeganiu zasad moralnych. W ocenie władz, blog stanowił obrazę obyczajów społecznych panujących w Polsce, więc K.P. został zwolniony dyscyplinarnie. Przed ETPC Polska powoływała się na ochronę moralności oraz praw i wolności innych osób. Argumentowała, że nauczyciel to zawód zaufania publicznego, że ma szczególną odpowiedzialność, że jego życie prywatne nie jest całkiem prywatne. Trybunał nie zaprzeczył, ale stwierdził, że nie istnieje jednolita europejska koncepcja moralności. Przez trzy instancje w polskich sądach nikt nie wyjaśnił, dlaczego konkretne treści bloga naruszały obyczaje społeczne. Nie wykazano żadnego realnego wpływu bloga na szkołę. Nie było skarg rodziców. Nie było interwencji uczniów. Nie było dowodów, że ktokolwiek doznał szkody. A jednak nauczyciel został ukarany najsurowiej.

Choć ETPC wyraźnie zaznaczył, że prawdziwym powodem zwolnienia nie była orientacja seksualna skarżącego, nie pominął kontekstu społecznego. Blog przedstawiał relacje homoseksualne. A Polska – co wynika z raportów Komisarza Praw Człowieka Rady Europy i Agencji Praw Podstawowych UE – charakteryzuje się negatywnym nastawieniem do osób LGBTQ. Ostatecznie Trybunał uznał, że doszło do naruszenia Konwencji, a Polska ma zapłacić skarżącemu 2 600 euro zadośćuczynienia za szkodę niemajątkową i zwrócić pieniądze, które przez decyzję państwa nauczyciel stracił.

Człowiek, którego przeciwnikiem okazał się kalendarz

Paulina i Jacek Ręcławowiczowie trafili do Strasburga dlatego, że ich postępowanie cywilne trwało zbyt długo. Tak długo, że przekroczyło granicę cierpliwości Konwencji Praw Człowieka – prawo do rozpoznania sprawy w rozsądnym terminie. Skarga była klasyczna i zarazem boleśnie znajoma: przewlekłość. Opóźnienia, za które odpowiadał system. Rząd polski postanowił zagrać kartą, którą Trybunał zna aż za dobrze. Skarżący – argumentował – nie są już „ofiarami" w rozumieniu art. 34 Konwencji. Bo każdy z nich dostał po 2 tys. zł z tytułu częściowo uwzględnionej skargi na przewlekłość postępowania. Ręcławowiczowie mieli inne zdanie. Wskazali, że przyznane kwoty były symboliczne, a co ważniejsze, skarga na przewlekłość nie spełniła swojego podstawowego celu: nie przyspieszyła postępowania.



Trybunał nie miał wątpliwości: zadośćuczynienie było niewystarczające. Dwa tysiące złotych na osobę nie rekompensuje lat życia spędzonych w oczekiwaniu na wyrok. I – co kluczowe – nie spełnia funkcji prewencyjnej,

eprasa.pl 54278aaac6

dają o Polsce

bo nie motywuje systemu do realnego przyspieszenia postępowań. ETPC stwierdził naruszenie prawa i przyznał skarżącym łącznie 1 800 euro zadośćuczynienia oraz 250 euro zwrotu kosztów. Za czas, którego obywatel nie odzyska. Nawet jeśli państwo dorzuci do przeprosin dwa tysiące złotych i wzruszy ramionami.

Proces, w którym adwokat był, ale sprawiedliwości nie było

Polski wymiar sprawiedliwości potrafi uznać, że obywatel powinien być obecny na rozprawie, nawet jeśli leży w szpitalnym łóżku. Poszło o to, że Janusz Tobijański został w 2010 r., razem z trzema innymi osobami, oskarżony o oszustwo. W 2012 r. sąd okręgowy go skazał, a rok później sąd apelacyjny kazał sprawę rozpoznać od nowa. Po trzech kolejnych latach, w marcu 2015 r., zapadł następny wyrok skazujący – tym razem grzywna w wysokości 20 tys. zł. Obrona złożyła apelację. I tu zaczyna się właściwa historia.

Rozprawę apelacyjną wyznaczono na 2 października 2015 r. Skarżący został o niej powiadomiony i miał stawić się osobiście. Dzień przed rozprawą trafił pilnie do szpitala. Przewidywany pobyt – około tygodnia. Natychmiast napisał do sądu. Poprosił o odroczenie. Wyjaśnił, że jest hospitalizowany i nie ma obrońcy. Dołączył zaświadczenie ze szpitala oraz opinię lekarza. Na rozprawie sędzia odczytał pismo Tobijańskiego. Prokurator powiedział krótko: wniosek oddalić, bo nieobecność nie została usprawiedliwiona zgodnie z prawem. Brak zaświadczenia od lekarza sądowego. Sąd się zgodził. Rozprawa odbyła się bez oskarżonego. Wyrok pierwszej instancji został utrzymany. Rzecznik Praw Obywatelskich wniósł kasację do Sądu Najwyższego, wskazując na naruszenie procedury. Kasację oddalono bez uzasadnienia. I wtedy Tobijański poszedł do Strasburga.



ETPC przejechał się po wszystkich instancjach polskiego sądownictwa, a to dlatego, że postępowanie apelacyjne nie spełniało standardów sprawiedliwości. Ale nie przyznał Tobijańskiemu pieniędzy. Stwierdzenie naruszenia uznano za wystarczające zadośćuczynienie.

Miłość, której państwo nie zauważyło

Chwilę temu Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) uznał, że polskie państwo ma wpisywać do polskich aktów stanu cywilnego jednopłciowe małżeństwa zawarte z tych krajach UE, gdzie da się to zrobić. Jednak sprawy tej przed TSUE nie byłoby, gdyby Polska wypełniła to, co wcześniej orzekł już ETPC. Sprawa była prosta. Skarżący – pary tej samej płci – chcieli zawrzeć związek małżeński za granicą. W tym celu potrzebowali zaświadczenia stwierdzającego brak przeszkód do zawarcia małżeństwa, wydawanego przez polskie władze stanu cywilnego. Dokument wydawany tysiącom heteroseksualnych par bez mrugnięcia okiem.

W ich wypadku odpowiedź była zawsze taka sama: odmowa. Nie dlatego, że nie byli pełnoletni, pozostawali w innych związkach, albo że brakowało papierów. Powód był jeden: byli parą jednopłciową.

Polski rząd przed Trybunałem próbował minimalizować problem. Skarżący – argumentował – nadal żyją razem. Ich związki trwają. Nie ponieśli żadnej realnej szkody. Odmowa wydania zaświadczenia nie zmieniła ich codziennego życia. Trybunał nie dał się nabrać i stwierdził wprost: Polska nie zapewniła skarżącym praw, które umożliwiałyby uznanie i ochronę stabilnych, zaangażowanych związków jednopłciowych. Zostali pozostawieni bez statusu. Bez ochrony, którą państwo gwarantuje innym obywatelom tylko dlatego, że kochają „właściwą" osobę. Wyrok z 27 lutego 2025 r. nie był zaskoczeniem. Trybunał opierał się na własnym, ugruntowanym orzecznictwie, także w sprawach przeciwko Polsce. Wnioski: Polska od lat wie, że jej podejście do związków jednopłciowych narusza prawo europejskie. I od lat nie robi nic. Co znamienne, ETPC nie przyznał skarżącym żadnego zadośćuczynienia finansowego. Uznał, że stwierdzenie naruszenia jest wystarczające, bo tego problemu nie da się zamknąć przelewem.

Prawo, które nie zdążyło zadziałać

Piotr Sadomski uwierzył, że polskie sądy – mimo reform, kontrreform i reorganizacji – wciąż są w stanie zapewnić rzetelny proces. Trafił jednak do rzeczywistości, w której sędzia może być niezależny lub nie – w zależności od dnia tygodnia i aktualnej uchwały.

Sprawa rozpoczęła się w 2018 r., gdy Krajowa Rada Sądownictwa (KRS) rekomendowała siedmiu kandydatów na wolne stanowiska w Izbie Cywilnej Sądu Najwyższego. Wśród nich nie było Sadomskiego – sędziego, który brał udział w konkursie. Sadomski poszedł do Naczelnego Sądu Administracyjnego (NSA). Ten wstrzymał wykonanie uchwały KRS, czyli zablokował możliwość powołania rekomendowanych sędziów do czasu rozstrzygnięcia sprawy. Ale mimo wstrzymania wykonania uchwały przez NSA, prezydent RP powołał siedmiu rekomendowanych przez KRS kandydatów na stanowiska. W tym momencie sens całego postępowania przed NSA wyparował. Nawet jeśli sąd administracyjny później wydałby wyrok korzystny dla Sadomskiego, nominacje były już dokonane. Stan faktyczny został nieodwracalnie ukształtowany.

Trybunał w Strasburgu uznał, że kontrola sądowa w Polsce istniała tylko formalnie. Można było złożyć skargę. Można było dostać postanowienie o wstrzymaniu wykonania uchwały. Ale państwo zaprojektowało system tak, by te środki nie miały żadnej realnej mocy. ETPC nie miał wątpliwości: prawo do sądu zostało naruszone. Ale i tu nie zasądził odszkodowania. Uznał, że stwierdzenie naruszenia stanowi wystarczające zadośćuczynienie.

Godność, która zginęła pod celą

Leszek Orłowski nie jest dla Strasburga postacią anonimową. To nie była jego pierwsza skarga dotycząca warunków odbywania kary. Wcześniej trzykrotnie kierował sprawy do ETPC, zarzucając naruszenie zakazu tortur oraz nieludzkiego lub poniżającego traktowania. Dwie z tych spraw zakończyły się ugodami, jedna deklaracją jednostronną rządu. Łącznie państwo polskie wypłaciło mu już ponad 84 tys. zł tytułem zadośćuczynienia i kosztów. Ale po orzeczeniu Trybunału w jego poprzedniej sprawie, w 2019 r. Orłowski nadal był traktowany jako „więzień niebezpieczny". I sposób stosowania tego statusu po raz kolejny trafił pod ocenę Strasburga. Bo prawie 2 lata Orłowski był poddawany pełnej kontroli osobistej, za każdym razem gdy opuszczał celę lub do niej wracał. Codziennie. Bez wyjątków. Bez uzasadnienia. Nie dlatego, że znaleziono u niego coś zakazanego. Dlatego, że tak działał system.

Trybunał zwrócił uwagę, że władze nie potrafiły wskazać ani jednego przekonującego argumentu, który uzasadniałby tak daleko idącą ingerencję w godność skarżącego. Zdaniem ETPC, codzienne kontrole osobiste stosowane przez długi czas musiały wywołać u Orłowskiego poczucie niższości, udrękę i narastający niepokój. I to w stopniu wykraczającym poza to, co jest nieuniknione przy odbywaniu kary pozbawienia wolności. Było to cierpienie dodane, więc naruszało europejskie konwencje. Tym razem Orłowski zadośćuczynienia się nie domagał. Wystarczyło mu to, że ETPC kolejny raz pokazał, że rację ma on, a nie polski model więziennictwa.

Aborcja, która nie mogła się doczekać

Wyrok w sprawie A.R. przeciwko Polsce nie mówi, jaka powinna być polska ustawa aborcyjna. Mówi, że władza nie może wprowadzać zmian poprzez chaos, zwłokę i milczenie. Chaos prawny państwo polskie stworzyło po wyroku Trybunału Przyłębskiej, uniemożliwiającym legalne przerwanie ciąży z powodu ciężkich wad płodu. Wyrok zapadł, ale ponad trzy miesiące nie został opublikowany. A bez publikacji formalnie nie wszedł w życie.

W tym właśnie czasie A.R. była w ciąży. W 15. tygodniu lekarze potwierdzili u płodu poważną wadę genetyczną. Zgodnie z obowiązującą wciąż literalnie ustawą z 1993 r., taka przesłanka umożliwiała legalne przerwanie ciąży. Ale szpitale odmawiały. Lekarze bali się odpowiedzialności karnej. Państwo milczało. A.R. nie miała czasu na rozstrzygnięcia ustrojowe. Wyjechała do Holandii. Tam, w prywatnej klinice, przerwała ciążę. Przed ETPC zarzuciła Polsce naruszenie zakazu nieludzkiego i poniżającego traktowania oraz prawa do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego. Trybunał skupił się na tym drugim przepisie. I nie miał wątpliwości, że ingerencja w prawa skarżącej była realna, dotkliwa i bezpośrednia. Niepewność prawna nie była tu abstrakcyjnym problemem doktrynalnym. Miała bardzo konkretny wymiar: czy jutro jeszcze wolno, czy już nie? Czy lekarz pomoże, czy odmówi? Nic dziwnego, że ETPC uznał, że ingerencja w prawa A.R. nie była zgodna z prawem. Kobieta została pozostawiona sam na sam z dramatem i państwowym milczeniem.

***

Dziesięć spraw, dziesięć wyroków, dziesięć historii o państwie, które mówi „chronię", a odracza, mówi „pilnuję", a nie widzi, mówi „jestem", a znika. Te wyroki to nie ocena. To lustro.

Wyroki ETPC z 2025 r. nie są katalogiem wstydu. Są instrukcją naprawy. Państwo może tę instrukcję rzucić w kąt. Albo zacząć z niej korzystać.

Stefan Płonicki

eprasa.pl 54278aaac6

Rzeczpospolita śmieciowa

Zamiast likwidować tzw. umowy śmieciowe, należy rozwiązać Państwową Inspekcję Pracy.

Informacje o wściekłości Donalda Tuska były wstrząsające. „Nasz rozmówca z kancelarii premiera opowiadał, że ci, którzy uczestniczyli w posiedzeniu Rady Ministrów pierwszy albo drugi raz, zrobili wielkie oczy, bo mieli poczucie, że to jest największa awantura i największa złość, jaką widzą u premiera, będąc z nim w jednym pomieszczeniu" – donosił TVN 24. Tuska tak bardzo oburzył projekt ustawy reformującej Państwową Inspekcję Pracy (PIP) przygotowany przez ministrę Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk.

Wedle zaproponowanych zmian, inspektorzy pracy mogliby w ramach decyzji administracyjnej przekształcać pozorne umowy cywilnoprawne (B2B, umowy-zlecenia czy umowy o dzieło) w umowę o pracę. Pozorne umowy cywilnoprawne to takie, które spełniają kryteria umów o pracę. Czyli pracownik zatrudniony np. w oparciu o umowę o dzieło pracuje w określonych przez pracodawcę godzinach, pod nadzorem i według poleceń przełożonego, w firmie pracodawcy i na sprzęcie pracodawcy.

Śmieciarze Donalda Tuska

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego (GUS), prawie 1,5 mln osób jest zatrudnionych wyłącznie na podstawie tzw. śmieciówek. Oczywiście nie wszyscy pracodawcy nadużywają umów cywilnoprawnych, ale wielu z nich chce zaoszczędzić na tzw. kosztach pracy i oszukuje nie tylko państwo, ale i pracowników. Ludzie zatrudnieni np. na umowę o dzieło nie mają prawa do bezpłatnej służby zdrowia, urlopów, zwolnień chorobowych, świadczeń rentowych i emerytalnych. Tacy pracownicy są obywatelami drugiej kategorii.

Jeśli ktoś zarabia kilkanaście tysięcy złotych i więcej, to jest w stanie odłożyć sobie na emeryturę i na leczenie, ale większość zatrudnionych na śmieciówkach pracuje za najniższe stawki, często mniejsze nawet niż pensja minimalna, która wynosi obecnie 4 806 zł brutto, czyli ok. 3 600 zł „na rękę". I właśnie takie osoby najbardziej skorzystałyby na nadaniu nowych uprawnień PIP. Ale Tusk powiedział, że „możliwość zmiany formy zatrudnienia przez urzędnika bez pytania o zdanie pracodawcy, zatrudnionego i bez wyroku sądu to zły pomysł" oraz że zadaniem rządu jest „zwolnienie gospodarki i obywateli od nadmiernych regulacji i biurokracji". Takie stwierdzenie jest pluciem w twarz Polakom, którzy chcieliby uczciwie pracować w cywilizowanych warunkach. I chcieliby też godnie przeżyć starość mając emeryturę i opiekę lekarską. A zamiast tego zasilą przytułki dla bezdomnych.

Zdaniem premiera, rozwiązania regulujące kwestię tzw. pozornych śmieciówek są wystarczające. Zgodnie z obowiązującym prawem, umowy cywilnoprawne podlegają kontroli Zakładu Ubezpieczeń Społecznych i Państwowej Inspekcji Pracy. Jeśli np. inspektorzy PIP uznają, że taka umowa ma charakter umowy o pracę, to mają obowiązek wystąpić do pracodawcy o jej zamianę, a jeśli ten nie będzie chciał na to przystać, to mogą w imieniu pracownika wnieść do sądu pracy powództwo o ustalenie istnienia stosunku pracy. Czyli inspektor PIP występuje niejako w roli adwokata. Jest to o tyle istotne, że koszty prawników są wysokie, więc zarabiający marne grosze pracownik magazynu nie byłby pozbawiony profesjonalnego pełnomocnika. To tylko teoria, w rzeczywistości inspektorzy pracy, którzy powinni stać na straży przestrzegania prawa, robią wszystko, aby tylko umyć ręce i nie zajmować się śmieciowymi robolami. Wiem to z własnego doświadczenia.



PIP pozbywa się śmieci

Przez wiele lat pracowałem w oparciu o pozorną umowę o dzieło. Gdy zgłosiłem się do Okręgowego Inspektoratu Pracy w Warszawie, byłem przekonany, że otrzymam fachową pomoc i wsparcie. Urzędnik, który mnie przyjął, już na wstępie powiedział, żebym nie robił sobie złudzeń, bo „nie mają czasu zajmować się takimi sprawami" i najlepiej by było, gdybym swoich roszczeń wobec nieuczciwego pracodawcy dochodził w sądzie pracy.

Pomimo to złożyłem wniosek o kontrolę mojej umowy o dzieło. Sprawa trafiła do p.o. nadinspektora pracy mgr inż. Eweliny Dębowskiej, która potraktowała mnie jak śmiecia. Otóż Dębowska stwierdziła, że do zadań PIP „należy nadzór i kontrola przestrzegania przepisów prawa pracy, w szczególności przepisów i zasad bezpieczeństwa i higieny pracy, przepisów dotyczących stosunku pracy, wynagrodzenia za pracę i innych świadczeń wynikających ze stosunku pracy, czasu pracy, urlopów, uprawnień pracowników związanych z rodzicielstwem, zatrudniania młodocianych i osób niepełnosprawnych". A ponieważ mój wniosek dotyczył kontroli umowy o dzieło, Dębowska orzekła: „Informuję, że nie wywiązanie się zamawiającego z zawartej umowy o dzieło nie leżą we właściwości rzeczowej Państwowej Inspekcji Pracy". Absurd! Przecież nie skarżyłem się na to, że pracodawca nie wywiązuje się z zawartej umowy o dzieło, ale że zawarł ze mną pozorną umowę o dzieło w sytuacji, gdy charakter mojej pracy odpowiadał pracy na etacie.

Dalej Dębowska wywodziła: „Umowa o dzieło nie wynika z przepisów Kodeksu pracy i innych aktów z zakresu prawa pracy i tym samym nie podlega kontroli ze strony inspektora pracy działającego na podstawie ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy. Z uwagi na charakter sprawy inspektor pracy nie jest uprawniony do dokonania wiążącej oceny czy w danej konkretnej sprawie mamy do czynienia ze stosunkiem pracy czy stosunkiem opartym na zasadach cywilnoprawnych". Było to bezczelne kłamstwo, bo według Głównego Inspektora Pracy (którego poprosiłem o stanowisko), „Państwowa Inspekcja Pracy prowadzi kontrole przestrzegania zakazu zawierania umów cywilnoprawnych (w tym głównie umów zlecenia i umów o dzieło) w warunkach wskazujących na istnienie stosunku pracy", a „zgodnie z art. 22 § 12 Kodeksu pracy, nie jest dopuszczalne zastąpienie umowy o pracę umową cywilnoprawną przy zachowaniu warunków wykonywania pracy właściwych dla stosunku pracy".

Gdy zapytałem inspektor Dębowską, dlaczego się tak zachowuje, odpowiedziała arogancko, żebym „dał jej spokój" i że ona zna lepiej przepisy prawa pracy niż Główny Inspektor Pracy. O wszystkim powiadomiłem Głównego Inspektora Pracy żądając, aby wszczął wobec podwładnej – która nie wywiązała się ze swoich obowiązków służbowych – postępowanie dyscyplinarne. Główny Inspektor Pracy przekazał sprawę Robertowi Pietrzakowi, kierownikowi Sekcji Kontroli Wewnętrznej Głównego Inspektoratu Pracy, a ten uznał, że zachowanie Dębowskiej było wzorowe. Pietrzak pouczył mnie, abym więcej nie zawracał mu głowy, bo nie będzie odpowiadał na korespondencję (sic!).

W międzyczasie pracodawca wywalił mnie z roboty, rozwiązując trwającą kilkanaście lat umowę o dzieło. Stało się to po tym, jak poinformowałem go, że zgłosiłem sprawę do PIP.

Sąd dla śmieciarzy

Potraktowany przez PIP jak śmieć, złożyłem do sądu pracy pozew przeciwko pracodawcy o ustalenie stosunku pracy. Na rozpoczęcie procesu czekałem ponad rok. Sprawę prowadzi neosędzia, która nie ma pojęcia o prawie pracy, a na urząd sędziego została wskazana przez nielegalną KRS i powołana przez Andrzeja Dudę w 2022 r., miała wtedy 51 lat. Zanim pani sędzia została sędzią, ponad 25 lat pracowała jako protokolant w sądach w wydziałach karnym i dla nieletnich i jako referendarz w wydziale gospodarczym Krajowego Rejestru Sądowego. To i tak nie jest jeszcze źle, bo mogłem wylosować jako sędziego np. byłego stewarda linii lotniczych Emirates albo żonę Mariusza Kamińskiego… Ponieważ sędzia wyznacza dwie rozprawy w roku, do przesłuchania jest kilkunastu świadków, a bywa też, że sędzia potrzebuje dwóch rozpraw na przesłuchanie jednego świadka, sprawa w pierwszej instancji może potrwać nawet 10 lat, a do prawomocnego zakończenia nawet 15 lat. W międzyczasie zmarło dwoje świadków, kilku jest w podeszłym wieku i nawet jeśli kiedyś odbiorą wezwanie, być może nie będą w stanie dotrzeć do sądu… Może się zdarzyć, również, że nie dożyję wyroku i to by było satysfakcjonujące rozwiązanie. Dla Polski i dla premiera Donalda Tuska, który przez większość życia pracował jako polityk opłacany przez podatników i z tego tytułu – jak informowały media – w 2023 r. otrzymywał ok. 35 tys. zł emerytury.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 54278aaac6

Upadli politycy

Ludzi władzy, którzy gwałtownie pożegnali się z wpływami, a nawet stoczyli na dno, jest wielu. Ale mało który dokonał tego tak spektakularnie jak Zbigniew Ziobro czy Szymon Hołownia.

Właściwie to zawód wysokiego ryzyka. Kiedyś żartowano, że polityka, podobnie jak muchę, łatwo zabić gazetą. Dziś gazet aż tak się nie czyta (i aż tak im się nie wierzy), ale wszystko, co dzieje się w sferze publicznej, jest zdecydowanie bardziej transparentne i dociera do powszechnej świadomości znacznie szybciej. Stąd też i upadki zdarzają się częściej i są boleśniejsze. Ci, których spotka taki los, zazwyczaj przeżywają to dotkliwie. Mają coś na kształt syndromu odstawienia. Podobno najgorszy jest milczący telefon: nikt nie dzwoni, bo wiadomo, że nic już nie uzyska. To znaczy, że przestałeś być ważny.

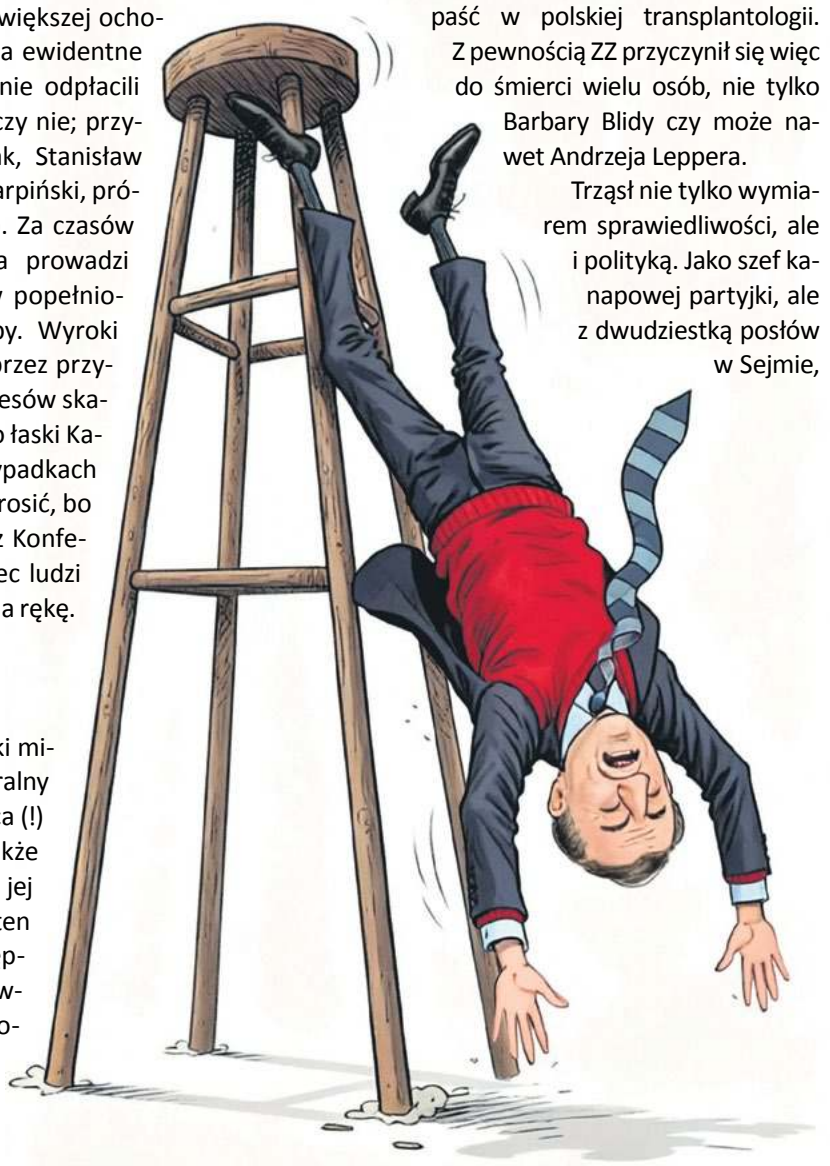
Niektórym politykom zbiera się kropelka po kropelce. Inni, jak saper, robią tylko jeden błąd, który wysadza ich w powietrze. Przykładem pierwszego może być Janusz Palikot, człowiek nadzwyczaj inteligentny, ale z czasem coraz bardziej brnący w kierunku statusu skandalisty. Po wypadnięciu z polityki skończył jako aferzysta gospodarczy; przez krótki czas także w areszcie – oczywiście, jak twierdził, bez winy. Drugim przypadkiem jest Ryszard Petru, którego miłosna eskapada do Portugalii zakończyła błyskotliwą (i krótkotrwałą) karierę jego i jego partii. Powrót zajął mu prawie dekadę.

Niektórzy od razu z gabinetów i ław poselskich trafiali prosto do więzień. To najgorszy scenariusz. Pierwszym, którego to spotkało był, pamiętajmy, Maciej Zalewski z Porozumienia Centrum, bardzo bliski współpracownik braci Kaczyńskich, skazany w jednej ze spraw afery Art-B. Pod koniec sejmowej kadencji 2001-2005 przydarzyło się to wielu osobom ze zmierzającego ku katastrofie SLD (nazwiska pominę, bo w niektórych przypadkach było to jawnie niesprawiedliwe; prokuratorzy wykazywali się wówczas nadgorliwością w obliczu nieuchronnej zmiany władzy). Po roku 2007 politykom PiS, w tym samemu Zbigniewowi Ziobrze, się upiekło, bo Platforma Obywatelska nie przejawiała większej ochoty do wyciągania konsekwencji nawet za ewidentne przewiny. Jarosław Kaczyński z Ziobrą nie odpłacili podobną monetą (nie bacząc, słusznie czy nie; przykładem tu mogą być: Sławomir Nowak, Stanisław Gawłowski, Rafał Baniak, Włodzimierz Karpiński, próby dopadnięcia samego Donalda Tuska). Za czasów obecnej koalicji rządzącej prokuratura prowadzi wiele śledztw w sprawach przestępstw popełnionych przez członków poprzedniej ekipy. Wyroki w końcu zaczną zapadać, choć jeszcze przez przynajmniej cztery i pół roku na straży interesów skazańców będzie stał wyposażony w prawo łaski Karol Nawrocki. Być może w niektórych wypadkach prezes PiS będzie się musiał solidnie naprosić, bo prezydent coraz wyraźniej asocjuje się z Konfederacjami i nadmierna litościwość wobec ludzi z partii populistycznej może nie być mu na rękę.

Ścigany szeryf

Obecny poseł Ziobro, etatowy pisowski minister sprawiedliwości i prokurator generalny w jednej osobie, objawił się jako uchodźca (!) w Budapeszcie. Status ten otrzymała także (na wszelki wypadek, bo nikt nie stawia jej żadnych zarzutów) jego żona. Wcześniej ten szlak przetarł jeden z jego byłych zastępców, też obecny poseł Marcin Romanowski. Ponieważ ta praktyka ma szansę upowszechnić się, premier Orbán zmienił nawet węgierskie prawo wprowadzając zakaz wykonywania europejskiego nakazu aresztowania wobec osób, którym przyznano azyl. Jak się okazało, walkę z migrantami – głównie z uchodźcami właśnie, bo imigrantów zarobkowych poprzedni rząd wpuszczał setkami tysięcy i bez rzetelnej kontroli – PiS zażarcie prowadzi tylko do czerwonej linii, za którą o ochronę międzynarodową występują jego prominentni członkowie.

Będąc ministrem-prokuratorem w latach 2005-2007 i 2015-2023, Ziobro lansował się jako „szeryf". Chodził z pistoletem za paskiem od spodni, zaostrzał kary, wymieniał prezesów sądów, sędziów niepokornych ścigał rękami rzeczników dyscyplinarnych i neo-KRS, organizował pokazowe konferencje prasowe, wymachiwał dyktafonem i głosił, że „nikt już przez tego pana życia pozbawiony nie będzie". Oskarżenie wobec doktora Garlickiego w sądzie się nie ostało, za to przez kilka lat mieliśmy zapaść w polskiej transplantologii. Z pewnością ZZ przyczynił się więc do śmierci wielu osób, nie tylko Barbary Blidy czy może nawet Andrzeja Leppera.



Trząsł nie tylko wymiarem sprawiedliwości, ale i polityką. Jako szef kanapowej partyjki, ale z dwudziestką posłów w Sejmie, stawiał twarde warunki Kaczyńskiemu i pchał Polskę do wyjścia z UE. Dziś denerwuje nie tylko ogół obywateli; sondaże pokazują, że jest uważany za „świętą krowę" uciekającą przed sprawiedliwością – ale nawet większość członków PiS. Stał się symbolem tchórzostwa. Nikt nie zwraca uwagi na jego nagrywane w Budapeszcie filipiki pod adresem Tuska i ministra Żurka. Stoi za nim tylko garstka partyjnych towarzyszy z dawnej Suwerennej Polski. Nie ma najmniejszych perspektyw na powrót do krajowej polityki, a komfort nad Balatonem ma zapewniony tylko przez dwa i pół miesiąca, do węgierskich wyborów parlamentarnych. Według sondaży, Orbán może je tym razem przegrać; choć – jak to w systemie miękkiego autorytaryzmu bywa – nie jest to wcale przesądzone. Nawet jeśli Ziobrze uda się jakoś ukryć na dłużej przed polskim wymiarem sprawiedliwości, w polityce – i dla historii – jest skończony.

Showman utracjusz

Casus Hołowni jest inny. Nie budował swojej pozycji latami, krok po kroku, jako nieopierzony poseł, błyskotliwy (ale już bezwzględny) członek komisji śledczej, młody minister. W polityce pojawił się nagle, niczym królik z kapelusza, *deus ex machina*. Zajął trzecie miejsce w wyborach prezydenckich (tych w czasie pandemii w 2020 r.), niemal z 14-procentowym poparciem. Wcześniej był znany głównie widzom programów rozrywkowych w TV, jako prowadzący, trochę czytelnikom lekko napisanych książek o wierze i Kościele, jako ich autor, a dla znawców rynku medialnego – jako dyrektor TVN-owskiego kanału Religia.tv.

Założył swój ruch społeczny (stowarzyszenie), a później partię Polska 2050. W zwycięskich dla demokratów wyborach dwa lata temu udało mu się wejść do Sejmu pod szyldem Trzeciej Drogi (koalicji z PSL). Nawet z niezłym, też 14-procentowym, wynikiem, choć do dziś trwają dyskusje, na ile było to efektem zachęty do głosowania na tę listę ze strony Donalda Tuska obawiającego się nieprzekroczenia przez nią progu i w konsekwencji utrzymania władzy przez PiS. Został marszałkiem, uruchomił Sejmflix, zyskał poklask dzięki ciętym ripostom i wyrafinowanemu humorowi podczas prowadzenia obrad. Nie miał jednak czasu – i umiejętności – by zajmować się w tym samym czasie swoją partią. Po wyjeździe do Parlamentu Europejskiego Michała Koboski, który faktycznie nią zarządzał, zaczęła popadać w marazm. W kolejnym podejściu do prezydentury (w 2025 r.) Hołownia poniósł sromotną porażkę: poniżej 5 procent i piąte miejsce, za dwoma konfederatami-nacjonalistami (Mentzen i Braun) i tylko o włos przed Adrianem Zandbergiem.

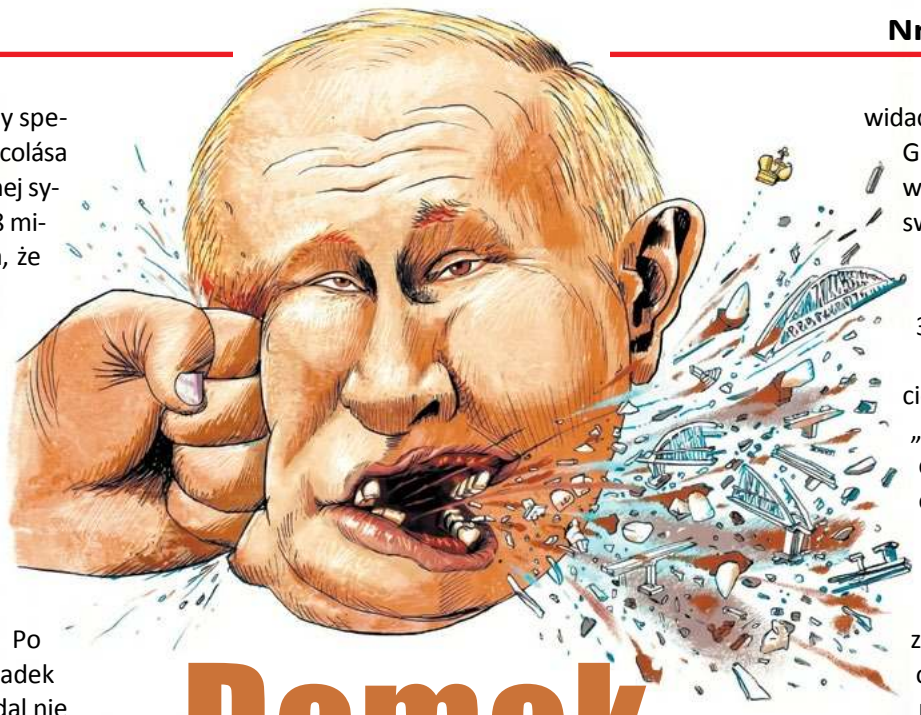
Chyba naprawdę wierzył, że obejmie najwyższy urząd w Rzeczypospolitej. Skoro się nie udało – obraził się. Wdał się w pokątne konszachty z Kaczyńskim. Odmówił sprawdzenia poprawności wyników głosowania, mimo licznych protestów i zastrzeżeń. Wprowadził koalicję w stan rozedrgania. Zaprzągł maszynerię państwową do poszukiwania pracy na bardzo eksponowanym międzynarodowym stanowisku Wysokiego Komisarza ONZ ds. uchodźców, co było z góry skazane na niepowodzenie.

W końcu porzucił swoje stronnictwo. Okazało się wtedy, że liczy ono raptem 700 członków, w dodatku wewnętrznie śmiertelnie skłóconych, i jest na tyle niesprawne, że nie jest w stanie przeprowadzić procedury wskazania jego następcy. A kiedy zechciał wrócić jako zbawca, dostał od koleżanek i kolegów fangę w nos. Nokaut.

Jakub Jabłoński

eprasa.pl 54278aaac6

Nr 4 (280) 23-29.01 2026 r. F!



Domek z kart Putina

Pierwsze dni nowego roku dają nadzieję na osłabienie władzy Putina, a co za tym idzie upadek jego reżimu. Noworoczne marzenie ma szansę zamienić się w rzeczywistość.

Oceńcie sami. 3 stycznia amerykańskie siły specjalne porwały prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro i jego żonę Cilię Flores z ich własnej sypialni. Operacja wojskowa trwała dwie godziny i 28 minut. Tylko leniwi nie kwestionują obietnicy Putina, że zdobędzie Kijów w ciągu tygodnia.

Milczenie owiec

Nawet słynne rosyjskie systemy obrony powietrznej S-300 i Buk nie pomogły Maduro. Po prostu nie zostały aktywowane podczas ataku amerykańskich sił specjalnych na rezydencję prezydencką w Wenezueli. Niektóre elementy obrony przeciwlotniczej nie działały w momencie ataku, bo stały zakurzone w magazynach. Po aresztowaniu Maduro Putin był w szoku. „Dziadek z bunkra" zniknął „z radaru" na tydzień. Putin nadal nie wypowiedział ani słowa w obronie Maduro, mimo że Nicolás był jego przyjacielem.

Rosja nie udzieliła „braterskiej" Wenezueli żadnej pomocy wojskowej, humanitarnej ani gospodarczej. I nie będzie jej udzielać. Dalej jest jeszcze lepiej. 7 stycznia wojsko amerykańskie zatrzymało na Oceanie Atlantyckim rosyjski tankowiec Marinera. Zajęcie statku jest związane z blokadą wenezuelskich dostaw ropy. Po Marinerze tankowiec Sophia został zajęty na Morzu Karaibskim. Również rosyjski. Rosyjska Duma Państwowa uznała te incydenty za bezpośredni atak na integralność terytorialną kraju, aczkolwiek w sensie prawnym. Zgodnie z międzynarodowym prawem morskim, statek pływający pod banderą państwa stanowi przedłużenie jego terytorium. Putin znowu milczał, udając że problem jest poza jego kontrolą. 9 stycznia amerykańska Straż Przybrzeżna przechwyciła tankowiec Olina na Morzu Karaibskim w pobliżu Trynidadu. W styczniu 2025 r. został on uznany za statek „floty cieni", transportujący rosyjską ropę. Dziennikarze o ciętych językach natychmiast dodali temu pikanterii. Olina brzmi jak Alina. Alina Kabajewa jest kochanką Putina i matką jego synów. Putin znowu „nic nie zauważył".

Olina to piąty statek pod banderą Rosji przejęty przez USA podczas operacji przeciwko jednostkom przewożącym ropę z Wenezueli. W chwili pisania tych słów amerykańskie okręty patrolowe ścigają 16 kolejnych rosyjskich tankowców.

Putin i jego najbliższe otoczenie milczą. Najwyraźniej boją się gniewu Trumpa. To jakby milczenie owiec.

Swoich nie zostawiamy?

Reżim Baszara al-Asada w Syrii upadł. Rodzina Asadów rządziła Syrią pół wieku. Reżim ajatollaha Alego Chameneiego w Iranie wisi na włosku. Zasiada on na tronie od 37 lat. Zarówno Syria, jak i Iran były najbliższymi partnerami politycznymi Putina na Bliskim Wschodzie. Putin również nie jest w stanie pomóc w tej kwestii. Gdzie jest pańskie osławione hasło: „Swoich nie zostawiamy!", panie Putin? Prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew i prezydent Kazachstanu Kasym-Żomart Tokajew (którego imię Putin celowo, z wyrafinowanym cynizmem przeinaczał, zwracając się do Tokajewa podczas internetowej sesji Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym trzy lata temu), otwarcie kpią z Putina. Putin z szyderczym uśmiechem nazwał Tokajewa „Kasamem Żemkielewiczem Tokajewem", potem „Kemelem Żomartowiczem", a później, upokarzająco i nieprzerwanie, „Kiemeżamilijewiczem". Teraz Putin prosi Alijewa i Tokajewa o pomoc wojskową. Ten taktownie odmawia.

Niegdyś przyjazna Rosji Armenia opuszcza strefę wpływów Putina. Rok temu byłem w Erywaniu. Na budynkach pełno jest amerykańskich flag. Znany kremlowski propagandysta Władimir Sołowjow nazwał w publicznej telewizji utratę Armenii i Azji Środkowej „gigantycznym problemem dla Rosji". I zaproponował „przeprowadzenie specjalnej operacji wojskowej nie tylko w Ukrainie, ale również na terenach w strefie wpływów Rosji". Ta bzdura wywołała dyplomatyczny spór między Moskwą a Erywaniem. Ambasador Rosji w Armenii został wezwany do miejscowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie wręczono mu notę protestacyjną. Sołowjow został pozbawiony ormiańskiego odznaczenia państwowego Orderu Honoru.

W Gruzji silne są nastroje antyputinowskie i antyrosyjskie. Około sześciu miesięcy temu gruziński taksówkarz w Tbilisi odmówił mi rozmowy po rosyjsku. Przeprosiłem za Rosjan, ale nie jestem pewien, czy to pomogło. Na moje „Madloba, batono!" (Dziękuję, proszę pana!), taksówkarz zmarszczył brwi. Ale nie odmówił napiwku.

Chwila prawdy

„To, co wydawało się niezniszczalne, rozpada się. Wszyscy są zaskoczeni, z wyjątkiem historyków. Wiedzą, że schematy są uniwersalne. Zakończenia są przewidywalne. Zmieniają się tylko szczegóły. System Putina rozpada się na naszych oczach – w styczniu 2026 r. Proces ten widać gołym okiem". Taką opinię wyraził pisarz Grigorij Czchartiszwili podczas transmitowanego *online* spotkania z czytelnikami na swoim kanale YouTube. Czytelnicy znają go pod pseudonimem Boris Akunin. Powieści Akunina zostały przetłumaczone na 35 języków, w tym na język polski.

Można się spierać z Akuninem, ale zawsze ciekawie się go słucha. Jest przekonujący. „Rosja Putina przechodzi przez klasyczny cykl imperialnego upadku". To te same etapy, przez które przeszedł ZSRR w latach 80., Imperium Rosyjskie w 1917 r., Imperium Osmańskie w 1923 r. i Austro-Węgry w XVIII wieku. Schemat jest niezmienny: utrata legitymizmu przez władcę, oderwanie od rzeczywistości. A potem natychmiastowy upadek, gdy osiągnięta zostanie masa krytyczna sprzeczności. Dyktatura wydawała się monolityczna, ale spoczywała na jednym człowieku. Wokół Putina zbudowano domek z kart. Elity bez ideologii, naród bez entuzjazmu, gospodarka bez perspektyw, armia bez zwycięstw. Usuń Putina – fizycznie, politycznie lub symbolicznie – a dom runie w ciągu kilku tygodni. Nadeszła chwila prawdy. Jest ona blisko".

Cykl upadku

Akunin profesjonalnie badał schematy upadku imperiów. Formułuje uniwersalny cykl.

Etap pierwszy *– ekspansja*. Imperium rozszerza się terytorialnie. Podbija sąsiadów, narzucając im swoją wolę. Zasoby są wystarczające, entuzjazm elit i ludu jest wysoki. Zwycięstwa legitymizują władzę. Rosja Putina przeszła przez ten etap w latach 2000 i 2010. Czeczenia została spacyfikowana, Gruzja ukarana, Krym zajęty, wpływy rosły.

Etap drugi *– przeciążenie.* Imperium próbuje utrzymać to, co zdobyło, i zdobyć więcej. Zasoby są niewystarczające. Zaczynają się niepowodzenia militarne. Gospodarka trzeszczy pod ciężarem wygórowanych wydatków. Elity zaczynają wątpić. Ludzie są zmęczeni. Rząd *rekompensuje* niepowodzenia represjami i propagandą. Rosja Putina weszła w ten etap w lutym 2022 r. – wojna z Ukrainą, sankcje, mobilizacja, kryzys gospodarczy.

Etap trzeci *– utrata legitymizmu*. W oczach elit i społeczeństwa rząd traci moralne prawo do rządzenia. Nie ma zwycięstw. Obietnice pozostają niespełnione. Standard życia się pogarsza. System jest podtrzymywany przez represje i bezwład. Elity szukają alternatywy. Ludzie biernie stawiają opór. Teraz, w styczniu 2026 r., Rosja Putina znajduje się dokładnie na tym etapie.

Etap czwarty *– upadek*. System załamuje się szybko i niespodziewanie dla większości. Impulsem może być cokolwiek: porażka militarna, śmierć dyktatora, kryzys gospodarczy, powstanie ludowe… Wewnętrzny rozkład osiąga masę krytyczną.

Rosja Putina zbliża się do tego etapu.

Systemy historyczne mają punkt krytyczny, po którym rozpad jest nieunikniony, nawet jeśli na zewnątrz nic się nie zmieniło. Punktem krytycznym dla Rosji Putina stał się luty 2022 r.".

***

Historia nie wybacza złudzeń i niewyciągniętych wniosków. Dyktatury upadają. Imperia rozpadają się. Rosja Putina nie jest wyjątkiem.

Anton Arbatow, Moskwa

przekład Marta Hofman

eprasa.pl 54278aaac6

Sprowokować insurekcję

Ameryce, której demokrację i praworządność codziennie depcze Trump, przybył i szybko się rozrasta nowy, jątrzący się ropień.

W Minneapolis funkcjonariusz federalnej służby imigracyjno-granicznej ICE, zwanej coraz powszechniej „gestapo Trumpa", zabił 7 stycznia 37-letnią Renee Good – matkę trojga dzieci, nagradzaną poetkę. W miarę upływu czasu emocjonalna reakcja Amerykanów na ten dramat nie słabnie. Przeciwnie: wzmaga się.

Przypomnijmy fakty; jakie są, każdy widzi – inaczej. W zależności od politycznych zapatrywań. Bordowa terenówka Honda Pilot z Renee i jej żoną w środku stoi w poprzek okolonej domami jednorodzinnymi ulicy Portland Avenue w zaśnieżonym i mroźnym Minneapolis w stanie Minnesota. Rano w okolicy pojawiły się samochody i agenci ICE; mieszkańcy wylegli, by ostrzegać imigrantów przed niebezpieczeństwem i biernym oporem utrudniać łapanki. „Wcale nie jestem na was wściekła!" – woła przez okno uśmiechnięta Renee. Kilku zamaskowanych agentów podbiega do jej samochodu, wykrzykując sprzeczne z sobą polecenia: „Odjeżdżać!", „Wysiadać!". Jeden szarpie za klamkę drzwi kierowcy. Drugi, Jonathan Ross, staje przed autem. Good, spanikowana, skręca w prawo, usiłuje ominąć ludzi i odjechać. Honda mija, być może (może nie...) ociera się karoserią o funkcjonariusza. Ów strzela trzykrotnie. Kula przebija szybę w prawym dolnym rogu, co pokazuje, że auto skręcało, unikając kolizji z człowiekiem. „Pierdolona suka!" – bluzga Ross chowając pistolet. Honda przez chwilę jedzie bez kontroli, uderza w inny samochód. Agenci cofają się do swych pojazdów. Odganiają mężczyznę, który deklaruje: „Jestem lekarzem, chcę pomóc rannym!". Gdy przyjeżdża karetka, ICE nie od razu dopuszcza sanitariuszy na miejsce wypadku. Good jest martwa, z kulą w twarzy.

Nie minęła godzina od tragicznego incydentu, gdy Trump, jego wice Vance i szefowa Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Noem zaczynają forsować swą interpretację zdarzenia. Dla obiektywnego obserwatora ewidentnie sprzeczną z faktami. „Ona była profesjonalną agitatorką!"; „Gwałtownie, celowo i wściekle przejechała funkcjonariusza ICE!"; „To rodzima, opłacana terrorystka"; „Użyła auta jako śmiercionośnej broni, agent ratował swe życie"; „To tragedia, za którą odpowiada ona sama". Orwellowski przekaz przypomina intensywną sesję hipnozy. Odbiorca ma uwierzyć w to, co słyszy, a nie w to, co widzi na kilku emitowanych nagraniach. Ma odwrócić emocje i współczucie – zamiast zabitej ma być nimi obdarzony sprawca jej śmierci. Mówi Greg Bovino, szef Border Patrol: „Wycelowała dwutonową rakietę swego auta w funkcjonariusza Rossa... Czapki z głów na jego chwałę!".

Prowokatorzy i terroryści

Druga strona, która nie odrzuca tego, co widziała i ma zdolność do kojarzenia faktów, nie milczy. Jacob Frey, demokratyczny burmistrz prodemokratycznej metropolii, nie przebierając w słowach daje wyraz oburzeniu. O propagandowej wersji rządowej mówi: „To gówno prawda". „Wypierdalajcie z naszego miasta!" – to przekaz Freya dla ICE. Mieszkańcy Minneapolis też są wściekli. Good straciła życie półtora kilometra od miejsca, gdzie w 2020 r. policjant udusił kolanem przyciśniętym do szyi leżącego George'a Floyda. Masowe demonstracje rozlały się wówczas po całym kraju, towarzyszyły im akty wandalizmu. Tym razem protesty także rozpoczęły się w tym miejscu. W Minneapolis, nie zważając na wicher i mróz – 20°C, sprzeciw wobec praktyk ICE i polityki Trumpa manifestowały dziesiątki tysięcy ludzi. Tydzień później demonstracje protestacyjne, bez przemocy i wandalizmu, organizowano już w ponad tysiącu miast USA.



Władze – burmistrz Frey i gubernator Tim Walz, niedawny kandydat na wiceprezydenta – ostrzegają mieszkańców: tylko pokojowe protesty, nie dajcie się sprowokować, oni usiłują podjudzać was do łamania prawa. Kristi Noem, zamiast emocje wyciszać i tonować, z premedytacją je podkręca. Do Minneapolis wysyła kolejne 2 tys. uzbrojonych, zamaskowanych funkcjonariuszy ICE. Trump wciąż dolewa oliwy do ognia: „Good była bardzo gwałtowna, bardzo radykalna; była profesjonalną agitatorką. Zbadamy, kto jej płacił". Noem blokuje władzom stanu dostęp do śledztwa: ma być prowadzone wyłącznie przez FBI kierowane przez zausznika Trumpa Kasha Patela. FBI już zapowiada, że postawienie zarzutów Rossowi jest „mało prawdopodobne".

Jak śledztwo może być obiektywne, gdy godzinę po zabójstwie władze federalne obwiniły zabitą? Minnesota zapowiada niezależne dochodzenie; wytacza proces rządowi federalnemu, domagając się usunięcia z miasta siejących przemoc i chaos agentów federalnych. To samo uczyniły demokratyczne władze Illinois. Departament Sprawiedliwości (zwany departamentem zemsty) nie wszczyna rutynowego dochodzenia w sprawie śmiertelnego w skutkach użycia broni przez funkcjonariusza. W zamian wszczyna dochodzenie mające wykazać, że zastrzelona młoda matka wraz z żoną były profesjonalnymi prowokatorkami i terrorystkami. Protestując przeciw takiemu biegowi spraw, sześciu prokuratorów federalnych podało się do dymisji. „Los Angeles Times" przypomniał 21-stronicowy raport Police Executive Research Forum z 2014 r. Stwierdza on: „W wielu przypadkach użycia broni funkcjonariusze wystawiali się celowo na ryzyko, zachodzili drogę jadącym autom, by stworzyć pretekst do użycia śmiercionośnej broni, twierdząc, że kierowca chciał ich przejechać".

Kompletna katastrofa

Napięcie i konfrontacyjne nastroje gwałtownie narastają, szczególnie w wielkich miastach, zamieszkiwanych i zarządzanych przez demokratów. Podległe Trumpowi policyjne służby federalne ten stan podsycają. Zachowują się agresywnie, pod byle pretekstem używają gazów łzawiących i gumowych kul przeciw pokojowym demonstrantom. Brutalnie uprowadzają, wtrącają do więzień i deportują Latynosów podejrzanych o nielegalnych pobyt, nierzadko obywateli USA. To przemyślana taktyka – oceniają komentatorzy i eksperci.

Chodzi o to, by stworzyć sytuację, w której Trump zadeklaruje, że jego przeciwnicy zorganizowali „insurekcję" – to słowo-klucz ma mu dać pretekst do wprowadzenia stanu wojennego, zawieszenia procedur demokratycznych, wprowadzenia otwarcie dyktatorskich rządów. A przede wszystkim anulowania listopadowych wyborów uzupełniających do Kongresu, o których mówi się – również w kręgach republikańskich – że będą „krwawą łaźnią" dla tej partii. Dla Trumpa oznaczałoby to kolejne *impeachmenty*; również jego bliscy podwładni zostaną postawieni w stan oskarżenia.

Trump ostatnio rekrutował dodatkowo 12 tys. nowych agentów ICE. Jak donosi „The Washington Post", akcja masowej rekrutacji nabiera rozmachu. Trump planuje przeznaczyć na nią 100 mln dol. z pieniędzy podatników. Kasę za ogłoszenia otrzymują prawicowe media i platformy, np. rasistowska i antysemicka Rumble. Zaangażowani są prawicowi influencerzy. Za samo zgłoszenie się kandydaci do ICE otrzymują premię w wysokości 50 tys. dol. W opinii dziennika, rekrutacja odbywa się „w trybie wojennym". W treści anonsów mówi się o „obronie ojczyzny" przed hordami imigrantów, którzy chcą ją zniszczyć.

ICE mimo tak dużej kasy boryka się z problemami rekrutacyjnymi, bo wielu ewentualnych chętnych zrażają masowe deportacje o charakterze rasistowskim. Aby zwabić kandydatów, złagodzono kryteria i ograniczono wymagania: z 16 do 6 tygodni skrócony został czas szkolenia. Prawicowy „Daily Mail" przedstawia przyszłych agentów ICE. Jak ubolewają rekrutujący, są to 18-latkowie po szkole średniej, którzy „ledwo umieją czytać i pisać". Otyli, z orzeczeniami lekarskimi, że nie nadają się do służby. Wielu zgłaszających się ma na koncie skazania za przestępstwa seksualne i rasistowskie oraz tatuaże zdradzające przynależność do gangów. Testy ujawniają, że zażywają narkotyki. Badanie przeszłości odbywa się dopiero, gdy kandydaci przejdą szkolenia i zaczynają służbę. Anonimowy pracownik Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego wyznał „Daily Mail": „Zatrudniamy ludzi, którzy nie potrafią zawiązać sznurówek... To kompletna katastrofa od początku do końca".

W wywiadzie dla „The New York Times" Trump otwarcie przyznał, że nie powstrzyma go nic: „Jedyną rzeczą, która może mnie zatrzymać, jest moja moralność i mój rozum".

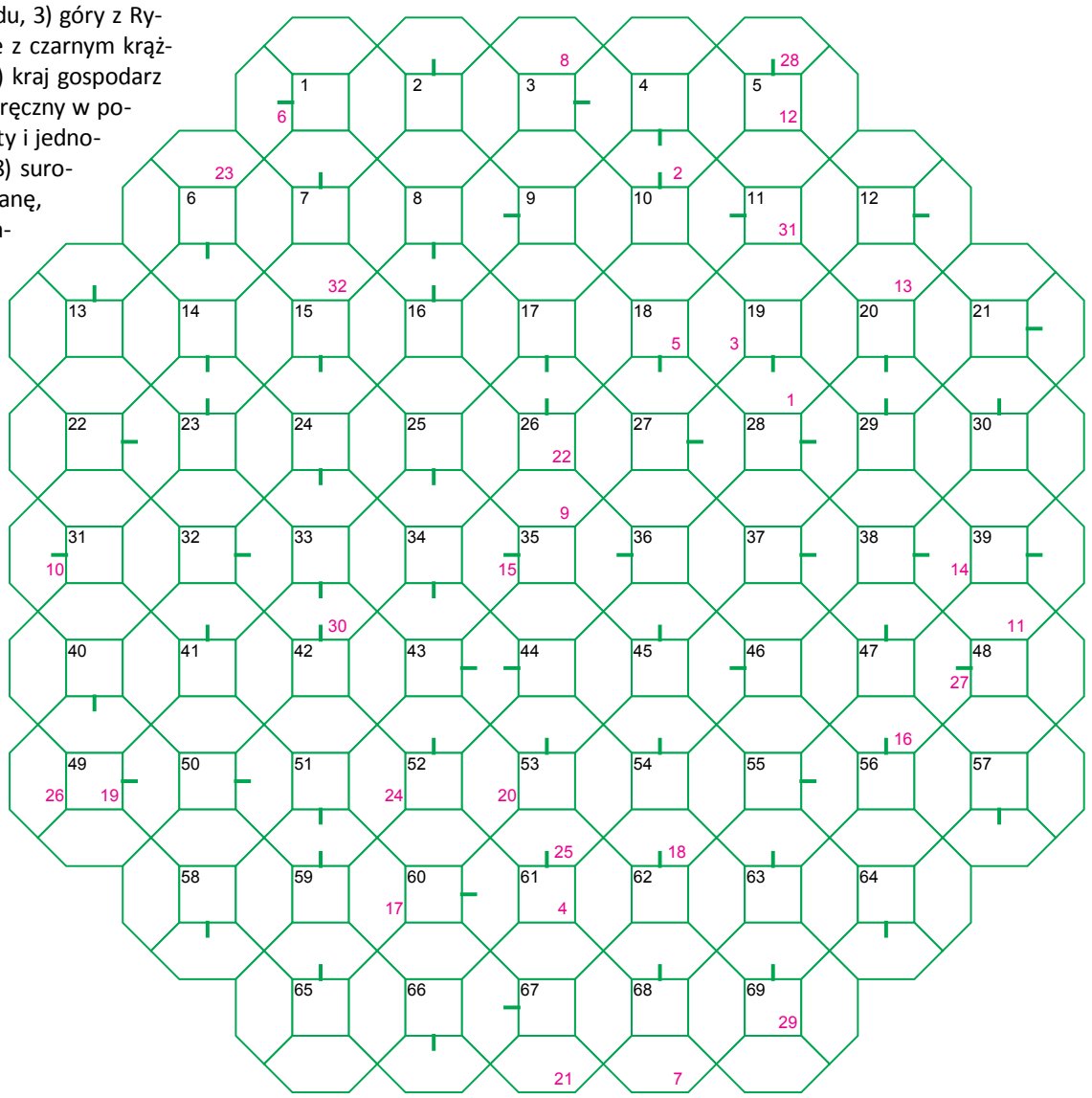
Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl 54278aaac6

WIRÓWKA

Pierwszą literę odgadniętego hasła wpisujemy do środkowego, drugą do zaznaczonego pola, a następnie prawoskrętnie. Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą rozwiązanie.

1) przytoczenie cudzego tekstu, 2) statek, przeważnie bez własnego napędu, 3) góry z Rysami, 4) trawa po wysuszeniu, 5) narząd kłujący pszczoły, 6) gra na lodzie z czarnym krążkiem, 7) brat ojca, 8) strój zakrywający całe ciało, w tym również oczy, 9) kraj gospodarz MŚ 2022, 10) wysoka część zamku, 11) włókno z owcy, 12) szpieg, 13) podręczny w podróży, 14) polska potrawa z kiszonej i słodkiej kapusty oraz mięs, 15) zwarty i jednolity górotwór, 16) urządzenie dźwigowe, 17) mściciel w czarnej masce, 18) surowiec na mąkę, 19) akwen między kontynentami, 20) taras, 21) roślina na ranę, 22) między oryginałem a kopią, 23) jeździ w wieżowcu, 24) trup w kryminale, 25) słodki ziemniak, 26) przemowa przy kieliszku, 27) turecka pieczeń na rożnie, 28) serdeczny dla każdego, 29) śnieżna wydma, 30) część buta pod piętą, 31) stolica Litwy, 32) kierunek w sztuce lub modzie, 33) zator na drodze, 34) słodki, brązowy napój mleczny, 35) statua, 36) pęcherz na skórze, 37) czarny sport, 38) skorupa na ranie, 39) ziele z mentolem, 40) ozdobne naczynie na kwiaty, 41) z numerem na dworcu, 42) gra z karetą, 43) radula, 44) płynna masa skalna, 45) larum, 46) owad jak helikopter, 47) napój miksowany z alkoholem, 48) dolna część masztu, 49) barwi drewno, 50) impreza z ujeżdżaniem byków, 51) sukulent o kolczastych liściach, 52) list zza krat, 53) deski na śnieg, 54) na piersi żołnierza, 55) ścierana gąbką z tablicy, 56) zatwierdzający klawisz komputera, 57) organ dowodzenia, 58) zarost poniżej ust, 59) wilgoć w ustach, 60) jamochłon w nosie, 61) koń przy koniu, 62) kulisty wytwór małża, 63) słodkie zakończenie posiłku, 64) smakowity dla łakomczucha, 65) przyjęcie do pracy, 66) białe nad szmaragdową tonią, 67) pod stopą kolarza, 68) chamowi wystaje z butów, 69) kość łącząca kręgosłup z mostkiem.



Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM” na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach”, ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM” imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Żona mówi do męża:
– Doniesiono mi dzisiaj w pracy, że widziano naszego syna kupującego prezerwatywy w aptece. Co robimy?
Mąż odpowiada:

– | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | | 9 | 10 | 11 | , | 12 | 13 | | 14 | 15 | | 16 | 17 | 18 | | 19 | 20 | 21 | | 22 | 23 | 24 | 25 | | 26 | 27 | 28 | 29 | 30 | 31 | 32 | .

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 2/2026: „A NIE MOGĘ OD JUTRA? BO DZISIAJ MAJĄ FINAŁ!”.
Nagrody otrzymują: Janusz Stawicki ze Szczecina, Stanisław Borowik ze Skawiny, Wiesława Szymańska z Warszawy.

Spotkanie z „Jurkiem”

Stało się. „Batyr” w końcu spotkał się z „Jurkiem”.

14 stycznia Karol Nawrocki zaprosił do siebie przedstawicieli mniejszości narodowych i niekatolickich wspólnot religijnych, żeby z nimi, zgodnie z prezydencką tradycją, poświętować rozpoczęty właśnie rok 2026. Były komplementy, radość na pokaz, slogany o wkładzie mniejszości w rozwój Najjaśniejszej i oczywiście wspólne foty z prezydentem.

Metropolita Sawa, szef wszystkich prawosławnych w Polsce, od czasu intronizacji Nawrockiego na najwyższy stolec w państwie jak ognia unikał takich spotkań. Po ludzku nawet go rozumiemy, bo w 2009 r. IPN opublikował spory materiał o tym, jak to Sawa w PRL-u działał jako agent SB o pseudonimie Jurek, pisząc donosy na swoich współbraci i biorąc udział w misternych operacjach bezpieki rozpracowujących ludzi innych kościołów. Teraz musiał podać, jak gdyby nigdy nic, rękę byłemu szefowi tej instytucji, który komunistycznych szpicli nienawidzi z całego swojego kibolskiego serca. (I vice versa).

Ale to się stało, więc Sawa i Nawrocki stanęli ramię w ramię przed obiektywem. Czy to oznacza, że ten drugi pofatyguje się w tym roku na Górę Grabarkę, na sierpniowe święto Przemienienia Pańskiego? Wszystko jest możliwe, bo powoli wchodzimy w kampanię wyborczą 2027 i Nawrocki będzie ciułał głosy dla prawicy wśród wyznawców prawosławia. Kilkuset tysięcy potencjalnych głosów nie można ignorować, nawet jak na ich czele stoi były esbecki agent. Wszak „obłuda jest hołdem, jaki występek oddaje cnocie”.

Wacław Jerzy Koniecpolski

Z Watykanu do paki

Osiem lat więzienia – taki wyrok usłyszał Polak Jan N., były współpracownik papieża Franciszka.

W przeszłości pracował m.in. w Sekretariacie Stanu Stolicy Apostolskiej i był współpracownikiem papieża Franciszka. Franciszkanin Jan N., znany jako ojciec Polikarp, został skazany przez Sąd Okręgowy w Elblągu na karę łączną ośmiu lat więzienia. Prokuratura zarzucała mu 14 przestępstw o charakterze seksualnym na szkodę czterech małoletnich, pokrzywdzonych w Polsce i we Włoszech. Według ustaleń śledczych, mając status przewodnika duchowego swoich podopiecznych, wykorzystywał ich zaufanie, dopuszczając się gwałtu oraz wymuszania innych czynności seksualnych.

Jak zwykle w takich sprawach, proces zakonnika toczył się za zamkniętymi drzwiami. Oprócz więzienia Jan N. ma zakaz wykonywania działalności związanej m.in. z edukacją i wychowaniem dzieci, a także wykonywania posługi duszpasterskiej wobec małoletnich na zawsze. Sąd nałożył też na niego 10-letni zakaz kontaktowania się i zbliżania do pokrzywdzonych oraz przebywania w szkołach, przedszkolach i żłobkach. O. Polikarp musi też zapłacić zadośćuczynienie pokrzywdzonym w łącznej kwocie 210 tys. zł. Wyrok nie jest prawomocny. Jak informuje Arkadiusz Kuta, rzecznik Sądu Okręgowego w Elblągu, sąd uniewinnił oskarżonego od jednego zarzutu – popełnienia czynów polegających na „podejmowaniu innych czynności seksualnych” wobec osoby małoletniej, których miał się dopuścić w 2006 r. w Rzymie.

Skazany franciszkanin to historyk i watykanista, doktor teologii i patrolog, czyli osoba specjalizująca się w poznawaniu życia i spuścizny Ojców Kościoła. W przeszłości pracował także w działającej pod egidą Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej Fundacji „Latinitas”, która zajmowała się kwestiami związanymi z używaniem i tworzeniem nowych słów w języku łacińskim, a także przekładem na łacinę terminów nowoczesnych.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl 54278aaac6



Aleksander Macedoński chciał napaść na Arabię, ponieważ sądził, że stamtąd pochodził cynamon.

„Na koniec świata. Przyprawy, które zmieniły historię”
Thomas Reinerstein Berg



Cynamonowiec z przeszłością

Odzwyczailiśmy się od zimy, ale na szczęście dzięki wełnie, polarom, puchowym kołderkom, przytulnym kocykom oraz korzeniom, które znajdują się chyba w każdej kuchni, jakoś uda nam się dotrwać do wciąż jeszcze dalekiej wiosny.

Test

Cynamon to jedna z najstarszych przypraw, jakie poznali ludzie i jedyna, która jest korą, a nie owocem, liściem czy korzeniem. Występuje w odmianach różniących się składem, zwłaszcza ilością kumaryny, o czym już pisałam.

Jak odróżnić cynamon cejloński od cynamonu z kasji chińskiej, bo te dwa najczęściej spotyka się w sprzedaży? Najprościej byłoby przeczytać, ale oglądałam opakowania cynamonu z różnych firm w tych sklepach, w których najczęściej robi się zakupy, i nie znalazłam na żadnym informacji o pochodzeniu jego zawartości.

A zatem warto wiedzieć, że cejloński cynamon jest jasnobrązowy, jaśniejszy, delikatniejszy, słodszy, z kwiatowymi i cytrusowymi nutami. I jeśli ktoś przyzwyczaił się do znacznie intensywniejszej, pikantnej, czerwonobrązowej lub rdzawej kasji, może nawet zastanawiać się, czy przypadkiem mu nie zwietrzał. Zwinięty cynamon jest kruchy, zwykle w cienkiej rurce kory znajduje się druga, mniejsza, kasja zaś jest twardsza, grubsza i sprzedawana w pojedynczych rulonach. Wciąż macie wątpliwości? Zróbcie test jodyną. Jeśli po dodaniu jej kropli cynamon zmieni kolor na fioletowy lub ciemnoniebieski, to znaczy, że kupiliście kasję, natomiast cynamon cejloński jedynie ściemnieje.

Fakty i mity

Cynamon i kasja należą do najwcześniejszych poznanych przypraw, zarówno według pism przedbiblijnych, jak i pobiblijnych. Wspominają o nim chińska księga zielarska sprzed 2700 lat p.n.e., Biblia, egipscy, greccy i rzymscy historycy.

Chińczycy mają o nim różne legendy, między innymi o bogini Księżyca czy czarowniku, który pragnął dzięki kasji zyskać nieśmiertelność. W ogóle to Chińczycy wierzyli, że dzięki kasji można dożyć sędziwego wieku, ale by to osiągnąć, należało zdecydować się na dietę złożoną z… żółwich mózgów i kory kasji. Kto by to jednak wytrzymał? Znali też przepis zapewniający życie wieczne i umiejętność chodzenia po wodzie. W tym celu trzeba było regularnie pić sok z cebuli, bambusa i wywar z kory kasji. Ale jak dobrze wiecie, w jej korze znajduje się kumaryna, która w nadmiarze szkodzi, więc w tym wypadku chyba wskazana jest ostrożność. No, chyba że ktoś ma wyjątkowo odporną wątrobę… A poza tym od chodzenia po wodzie byli też inni specjaliści.

Wróćmy jednak do Chin. Boski Rolnik, czyli cesarz (lub bóg – Chińczycy różnie o nim mówią) Shennong, położył podwaliny pod chińskie rolnictwo i ziołolecznictwo. To on ponoć przekazał informacje o leczniczych właściwościach roślin rosnących na ziemiach Państwa Środka, w tym o kasji, która miała zapewniać młodość i urodę.

Cynamon znano i używano w starożytnym Egipcie jako cenne kadzidło w świątyniach, do aromatyzowania wina i piwa oraz… balsamowania zwłok, oczywiście tych osób, które za życia były odpowiednio bogate i dostojne, bo zwykłych, szarych ludzi na cynamon nie było wtedy stać. Nawet jeśli Egipcjanie używali kasji lub kory z *Cassia abbereviata* rosnącej na Madagaskarze. No bo przecież właściwie do XIII w n.e. nikt o cynamonie z Cejlonu jakoś nie wspominał.

To kasja, a nie cynamon, musiała wchodzić w skład świętego oleju, którym namaszczano Arkę, Namiot Przymierza, stół, naczynia, a także Aarona i jego synów, tym bardziej że w Księdze Psalmów król był otulony zapachem „mirry, aloesu i kasji”, choć w „Pieśni nad Pieśniami’’ jest „szafran, wonna trzcina i cynamon”. Ale może to kwestia tłumaczeń?

Tak przy okazji, nazwa cynamon pochodzi od fenickiego *kinamomos* (słodkie drzewo). A jeśli już mowa o słynących z kupieckich zdolności Fenicjanach, to warto dodać, że to oni, chcąc utrzymać wysoką cenę przyprawy, opowiadali o jej pochodzeniu różne nieprawdopodobne historie, które potem powtarzali ci, którzy przejęli po nich handel przyprawami, a także niektórzy greccy historycy.

Otóż cynamon miał być przynoszony z nieznanych nikomu miejsc przez cynamonowe ptaki, które wyścielały nim swoje gniazda. Zbieracze strącali je strzałami, a potem zbierali to, co spadło. W innej wersji cynamon rósł w wąwozach, w których żyły jadowite węże i aby się do niego dostać, zbieracze najpierw ryzykowali życie, a potem jeszcze część zdobyczy musieli oddać pazernemu Słońcu. Gdzieś w tym mieszczą się jeszcze różne warianty opowieści o Feniksie. W jednej z nich Feniks zbierał cenne przyprawy, w tym cynamon, by zbudować swe gniazdo, w którym potem miał spłonąć, by się odrodzić.

Bardzo długo monopol na handel przyprawami mieli Arabowie, którzy nawiązali stosunki handlowe z Chinami, między innymi ze względu na cenną kasję. Później ich dominację zakłóciło Cesarstwa Rzymskie. A Rzymianie używali wielu przypraw, w tym oczywiście cynamonu, nie tylko w kuchni, ale także do produkcji kosmetyków (za rzymskimi legionistami ciągnęły się zapachy Wschodu), a także do fumigacji. Na przykład, aromatyczne przyprawy rozsypywano wzdłuż ścieżki, którą kroczyli uczestnicy ceremonii pogrzebowej…

W średniowieczu cynamon stał się symbolem bogactwa i władzy królewskiej, często wręczano go sobie jako cenny prezent. I znów monopol na handel przyprawami, w tym na cynamon, przejęli Arabowie, ale i Żydzi. A potem? Portugalczycy, Holendrzy, Anglicy. Dorabiano się na nim fortun i tracono je. A już w XIX wieku należał do czterech gatunków przypraw wymienianych we wszystkich książkach kucharskich, obok pieprzu, gałki muszkatołowej i goździków. Używano go w kuchni i medycynie. „Potwierdzeniem leczniczych właściwości cynamonu było umieszczenie go w Farmakopei Wirtemberskiej z 1750 roku oraz w Farmakopei Królestwa Polskiego wydanej w 1817 roku”*.

Nie tylko przyprawa

Od wieków cynamon jest popularną przyprawą cenioną w kuchni, choć u nas przede wszystkim w cukiernictwie. Jak żaden inny dodatek podkręca smak jabłek, dopieszcza nudną kaszę mannę, ale pasuje też do bardzo konkretnych konkretów.

Sos do naleśników lub tortilli

Zmielcie wieprzowinę (ale może być i wołowina czy baranina), duście najpierw z cebulą i czosnkiem, potem wzbogaćcie startą marchewką i selerem, po chwili, gdy korzenie zmiękną, dodajcie pokrojone suszone pomidory, przecier z pomidorów, doprawcie solą, pieprzem, słodką i ostrą papryką i właśnie cynamonem. Pyszne!

Chai masala

Ta herbata rozgrzewa, gdy zimno, pobudza i dodaje sił w czasie upału. Zaparzcie dobrą aromatyczną czarną herbatę z mieszanką korzeni (modyfikujcie zgodnie z upodobaniami), np.: świeży imbir, kardamon, cynamon, ziele angielskie, goździki oraz skórka z cytryny. Jest pyszna z mlekiem słodzonym, ale równie dobra z miodem lub gorzka. ●

* Medycyna Ogólna i Nauki o Zdrowiu, 2015, tom 21, „Prozdrowotne właściwości cynamonu”, Katarzyna Kaławaj, Marta Kinga Lemieszek

eprasa.pl 54278aaac6

Nr 4 (280) 23-29.01 2026 r. F!

Spadająca gwiazda



Z gadziej perspektywy

Miał wszystko, o czym mężczyzna w średnim wieku marzy. Rozpoznawalność w internecie, w tradycyjnych telewizjach i także w realu. Na dworcach, w centrach handlowych, nawet na procesjach.

Niebanalną urodę, gadane, czyli sztukę bajerowania, wdzięk niewątpliwy. Kasę zarobioną gadaniem w teledurniejach. I jeszcze łatwość pisania książek, co dawało mu dodatkowy profil intelektualny. Do tego żonę przecudnej urody i udane dzieci. W szczycie swych lat tłustych był marszałkiem Sejmu RP. Konstytucyjnie drugą osobą w państwie.

Marszałkował świetnie. Wkrótce po objęciu przezeń funkcji marszałka oglądalność obrad Sejmu w internecie radykalnie wzrosła. Pod jego przewodem obrady stały się bardziej popularne niż parlamentów brytyjskiego czy niemieckiego. Liczba subskrypcji kanału Sejmu w serwisie YouTube potroiła się w niespełna dwa tygodnie. Fenomen ten został nazwany przez media, w tym „Financial Times", mianem Sejmflixu.

Sam się o tym raz przekonałem. Podczas pobytu w jednej z warszawskich piwiarni siedząca obok grupa biesiadników zażądała, aby zmieniono transmitowaną na telebimach relację z meczu piłki kopanej na obrady Sejmu RP prowadzone przez marszałka Hołownię. Oglądali go niezwykle emocjonalnie.

Bo miał wtedy niebanalną urodę, gadane, wdzięk niewątpliwy. Status sejmowego Ronaldo. Niestety, był też przywódcą partii. Musiał nim być, bo partię zarejestrowano pod nazwą Polska 2050 Szymona Hołowni.

Szybko okazało się, że przywódcą i politykiem jest jak z przysłowiowej koziej dupy trąba. Choć ciągle ma niebanalną urodę, gadane, wdzięk i status sejmowego Ronaldo. Ale to nie uchroniło go od politycznych wpadek. Nocnych skrytych randek z prezesem Kaczyńskim, odparciem niezidentyfikowanego „zamachu stanu", utraty kontroli nad własną partią. Do tego doszły plotki o posiadaniu dyplomu bardzo trefnej obecnie uczelni, jeszcze niedawno mieniącej się „wyższą".

Wpadki wynikały zapewne z jego charakteru i nabytych kompetencji. W działalności politycznej od lidera, partyjnego przywódcy oczekuje się projektowania przyszłych wydarzeń. Pisania ról dla ich wykonawców i obsadzania ich najlepszymi z możliwych kandydatów.

Stracone złudzenia

W czasie swej kariery Szymon Hołownia zwykle grał role w scenariuszach nie przez niego napisanych. Był wykonawcą cudzych pomysłów. Wykonawcą zazwyczaj twórczym, niezwykle wzbogacającym przydzieloną mu rolę. Kierownikiem swojego sektora, ale nie szefem całego przedsięwzięcia. Niezwykle popularnym, kochanym przez fanów podwykonawcą.

Kiedy ów inteligentny i wrażliwy młodzian w średnim wieku zorientował się, że najlepiej wychodzi mu rola pogodynki w parlamentarnym reality show, podjął impulsywną ucieczkę ze swej złotej klatki. Być może usłyszał też groźby szantażów ze strony macherów politycznych i zatęsknił za posadą teleszołmena. Kochanego przez miliony, hejtowanego jedynie przez pozostałe miliony zawistników. Ale żyjącego jak pączuś w masełku. Zwłaszcza że nadal ma niebanalną urodę, gadane, wdzięk niewątpliwy i jeszcze nimb sejmowego Ronaldo.



Klęska polityczna Szymona Hołowni i jego Polski 2050 nie daje powodów do optymizmu. Szymon Hołownia został wykreowany przez media jako przyszłościowy typ polskiego polityka nowej, młodszej generacji. Inny niż nadal trzymające władzę pokolenie liderów z czasów Okrągłego Stołu. Alternatywny wobec nich.

Wykreowano go na polityka umiaru i zdrowego rozsądku. Polaka-katolika, ale nowoczesnego. Wierzącego i praktykującego. Ale zwolennika „przyjaznego rozdziału Kościoła od państwa". Akceptującego rejestrację homoseksualnych „związków partnerskich", lecz nie nadawanie im rangi i praw małżeństw. Przeciwnika uchwał dyskryminujących osoby LGBT. Przeciwnika legalnej aborcji. Centroprawicowego konserwatystę. Patriotę Podlasia i wegetarianina.

W praktyce okazało się, że w polskim życiu politycznym, a zwłaszcza w polskim Kościele kat. nie ma zapotrzebowania na takich. Polski Kościół kat. woli znanych, niezmodernizowanych, przewidywalnych polityków PiS. Lubi tylko te piosenki, które już wiele razy słyszał.

Alternatywa dla duopolu

Politolodzy i komentatorzy od dwudziestu już lat narzekają, że polską sceną polityczną zdominował duopol. Centroprawica dowodzona przez prezesa Kaczyńskiego i centrolewica dowodzona przez premiera Tuska. Narzekają, że prowadzi to do politycznych patologii. Do wojny obu plemion. Brutalizacji mowy politycznej. Do przyjmowania przez polską klasę rządzącą podkultury kibolskiej.

Szymon Hołownia i jego Polska 2050 miały być alternatywą dla tego duopolu. Odtrutką na niego. Trzecią, racjonalną, pokojową drogą. Dowodem, że „inna polityka jest w Polsce możliwa".

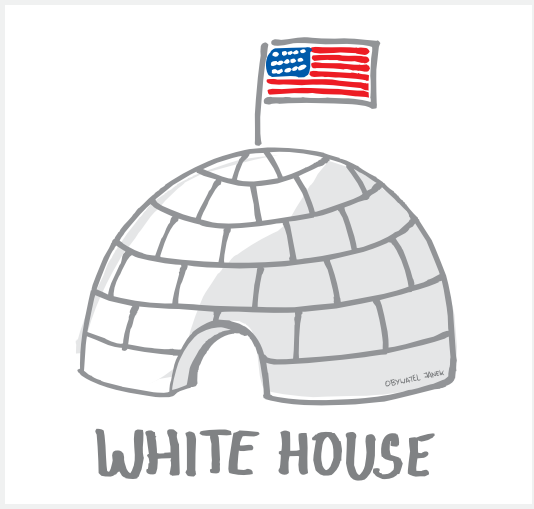
Niestety, znów okazało się, że kolejna „trzecia droga" zaprowadziła jej wyznawców donikąd. W stan organizacyjnego rozpadu i konieczności szukania innych, profesjonalnych liderów.

Każdy system polityczny działa sprawnie, kiedy jego elity podlegają systematycznej wymianie. Niekoniecznie rewolucyjnej. W Polsce regularnie pojawiają się partie i ruchy polityczne występujące pod sztandarami antysystemowości i „innej polityki", nowych osobowości politycznych. Takimi były Partia Przyjaciół Piwa, Ruch „NIE", Samoobrona, Ruch Palikota, Kukiz'15 i ostatnio Polska 2050 Szymona Hołowni. Każda z tych formacji wprowadzała do Sejmu RP grono parlamentarzystów wybranych dzięki popularności jej lidera lub medialnego patrona. Żadna z tych formacji nie dożywała trzeciej sejmowej kadencji. Rozpadała się, zasilała partie duopolu. Żaden z jej rozpoznawalnych liderów nie zrobił trwałej kariery politycznej.

Oby „nowoczesny katolik" nie skończył jak Lepper, Palikot, Kukiz.

Piotr Gadzinowski

WITAMY W KLUBIE



Mrozy dały się we znaki i aby zaoszczędzić na ogrzewaniu o. Oktan zamknął Najt Klub na cztery spusty. Siedziałem sobie w mojej przyklubowej cieciówce i oglądałem telewizję, ogrzewając się przy piecyku gazowym. Butlę z gazem dostarczył mi Parkingowy Henio, który – jak rasowy Polak – znalazł sposób na spuszczanie gazu z samochodów na LPG wprost do butli. Tacy innowatorzy jak Henio są w stanie nawet Teslę przerobić na gaz, aby móc z niej później kraść paliwo. Oglądałem wiadomości w różnych stacjach. Na jednej z nich nadal trwała imba związana z profanacją plastikowego krzyża, na drugiej relacjonowano za pomocą telefonu i starlinka krwawe starcia w Iranie. Na innej gadające głowy dyskutowały na temat przyszłości Grenlandii, na którą zagiął parol pewien prezydencki szaleniec po wylewie. Gdzieś tam wspomniano o wielkim promie, który promowany był (sic!) jako wielki sukces obecnego rządu. Od samego patrzenia robiło się zimno, bowiem liczba bałwanów w tym niebieskim okienku generowała taki chłód intelektualny, iż postanowiłem się znieczulić. Te wszystkie krwawe i mroźne niusy spowodowały, że wpadłem na pomysł spożycia Krwawej Mary. Użyłem do jej sporządzenia Wódki Lodowej z etykietą przedstawiającą zdziwionego pingwina na tle lodowych wzniesień oraz soku pomidorowego w kolorze krwi tętniczej, wpadającej bardziej w burgund niźli karmazyn.

Polityka to ważna sfera w życiu człowieka i umiejętne jej postrzeganie może umilić życie. Takiej inspiracji i Państwu serdecznie życzę. Na zdrowie!

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 54278aaac6

Czerwone korale



Trzej jeźdźcy autorytaryzmu

Wszyscy autokraci są do siebie podobni, każdy demokrata jest nim na swój sposób.

Trzej polscy jeźdźcy autorytaryzmu: Donald Tusk, Jarosław Kaczyński, Karol Nawrocki nie znoszą się nawzajem, bo – wbrew pozorom – mają ze sobą wiele wspólnego: działają w ramach logiki władzy, w której centralną kategorią nie jest partia, lecz przywódca, nie deliberacja, lecz emocja, nie instytucja i procedury, lecz lojalność. Podstawową różnicą jest to, że Kaczyński i Nawrocki testują i podważają mechanizmy liberalnej demokracji, a Tusk je broni, ale się nie cieszy.

Polityka z twarzą zamiast programu

Współczesna polska polityka coraz mniej przypomina spór idei, a coraz bardziej konkurs siły, bezwzględności i bezczelności. Partie polityczne, które w teorii demokracji są instytucjami pośredniczącymi między obywatelami a państwem, w praktyce stają się bezwolnymi bytami w rękach liderów. Programy są coraz krótsze, struktury kostnieją, a wewnątrzpartyjna demokracja jest uznawana za luksus, na który szkoda czasu. Personalizacja polityki stała się mechanizmem systemowym. Jest normą, której wszyscy oczekują. Media potrzebują twarzy, konfliktu i emocji, a wyborcy prostej narracji i jasnego podziału: my – dobrzy, szlachetni, uczciwi; oni – odrażający, brudni, źli.

W klasycznym modelu demokracji partie są wspólnotami, miejscami formowania elit, przestrzenią programowego sporu i realnych decyzji, mechanizmem reprezentacji różnych interesów. W modelu personalistycznym stają się jedynie zapleczem logistycznym, instrumentem legitymizacji lidera i maszynką wyborczą. Tym samym tracą znaczenie jako zbiorowi aktorzy polityczni i ustępują miejsca swoim liderom, którzy traktują je jak narzędzia i utożsamiają partię ze sobą. Kampanie wyborcze stają się referendami za lub przeciw liderowi, a krytyka szefa jest uznawana za zdradę obozu.

Tusk, Kaczyński i Nawrocki – choć funkcjonują na różnych poziomach systemu politycznego – reprezentują taką samą logikę przywództwa i wpisują się w ten sam mechanizm personalizacji władzy. Każdy z nich reprezentuje inny styl, inne zaplecze i inną narrację, ale wszyscy trzej wzmacniają model polityki opartej na silnej figurze przywódcy, a nie na autonomicznych instytucjach.

Donald niezbędny

Z Platformy Obywatelskiej, założonej wspólnie z Andrzejem Olechowskim i Maciejem Płażyńskim, Donald Tusk uczynił instrument zdobycia władzy dla siebie, co zrobił w 2007 r., bo w 2005 nie udało mu się ani w wymiarze premierowskim, ani w prezydenckim. Po siedmiu latach kierowania partią i państwem wybrał międzynarodową karierę w Brukseli, a kiedy ten etap się zakończył, wykorzystał PO jako wehikuł do powrotu na krajową arenę polityczną. Zadanie miał o tyle ułatwione, że pod rządami jego następców – Ewy Kopacz i Borysa Budki – Platforma nie tylko na dwie kadencje straciła władzę na rzecz PiS, ale w pewnym momencie w partyjnych notowaniach została nawet wyprzedzona przez Polskę 2050 Hołowni.

Na platformerskich działaczy padł blady strach. Uznali, że tylko powrót „kierownika", jak powszechnie nazywają Tuska w partii, może ją uratować, bo ma niezbędny autorytet i rozpoznawalność. I tak się poniekąd stało. Wprawdzie nie był to powrót bohatera na białym koniu, bo PiS zdobyło ponad milion głosów więcej niż Koalicja Obywatelska, składająca się z PO, Nowoczesnej, Inicjatywy Polska i Zielonych, ale Tusk stanął na czele koalicyjnego rządu stworzonego wspólnie z Trzecią Drogą i lewicą. Wszyscy uznali, że operacja odsunięcia PiS od władzy nie byłaby skuteczna bez Tuska, co utwierdziło opinię, że jest absolutnie niezbędny. I właśnie na tym opiera się jego siła. Zresztą chyba naprawdę uwierzył, że bez niego demokracja nie wygra, choć chciałby, żeby była bardziej walcząca.



W zasadzie zawsze taka była, bo Tusk od samego początku pozbywał się lub neutralizował potencjalnych rywali. W konsekwencji Platforma Obywatelska przez lata nie wykształciła trwałego, zbiorowego kierownictwa. Każdy kryzys prowadził do jednego i tego samego wniosku: skoro tylko Tusk ma wystarczający autorytet i rozpoznawalność, demokracja i partyjny pluralizm muszą zejść na dalszy plan. Jest paradoksem, że lęk przed powrotem pisowskiego autorytaryzmu utrzymuje tuskowy autorytaryzm.

PO straciła – a w zasadzie przy Tusku nigdy nie miała – autonomię, ale taki sam los spotkał jeszcze dwie partie, tworzące Koalicję Obywatelską. Jesienią 2025 r. Nowoczesna i Inicjatywa Polska przestały istnieć i zostały zaanektowane przez Tuska, który powtórzył manewr Leszka Millera z wiosny 1999 r., kiedy Sojusz Lewicy Demokratycznej, będący koalicją kilkudziesięciu podmiotów, został przekształcony w partię o tej samej nazwie. Tym samym jeszcze bardziej wzmocnił swoją pozycję i poszerzył władzę.

Stary wódz Kaczyński

Jest najbardziej klasycznym przykładem autokracji partyjnej w Polsce po 1989 r. Traktuje PiS jako podporządkowaną sobie, hierarchiczną strukturę do realizacji zadań. Jego partia jest wodzowska, a realna władza Jarosława Kaczyńskiego wynika nie z funkcji państwowych, bo pełni je z rzadka, a z pozycji prezesa. Kaczyński nie musi być premierem ani prezydentem, by decydować o strategicznych kierunkach polityki. Wystarczy, że decyduje, kto obejmie najwyższe urzędy. Pod tym względem jest niezwykle skuteczny. Stał za wyborem prezydentów Lecha Kaczyńskiego, Andrzeja Dudy, Karola Nawrockiego, a w pewnej mierze i Lecha Wałęsy.

W PiS jest, a przynajmniej było, jednoosobowe centrum decyzyjne, pluralizm wewnętrzny został całkowicie wyeliminowany, a instytucje państwa podporządkowane interesom partii. Nawet, kiedy prezes był poza nimi, w rzeczywistości stał ponad Sejmem, rządem, prezydentem i realnie rządził, nie ponosząc odpowiedzialności. To klasyczna, twarda autokracja partyjna, opisana w politologii jako *leader-dominated party*.

Dyscyplina jest oparta na strachu przed politycznym niebytem. Lider stworzył powszechne przekonanie, że bez niego PiS nie istnieje. Do tej pory w zasadzie nie było liczących się frakcji, a ich obecne pojawienie się związane jest z utratą władzy, spadkiem notowań i osłabieniem pozycji prezesa, choć nie można wykluczyć, że odbywa się za jego zgodą, a może nawet z jego woli. Kaczyński mobilizuje poprzez podkreślanie krzywdy, resentymentów i moralnej misji, zdrady elit, smoleńskiej traumy. A pogłoski o jego politycznej śmierci są wciąż mocno przesadzone.

Bezpartyjny Nawrocki

Karol Nawrocki nie jest liderem partyjnym w klasycznym sensie, ale właśnie dlatego jest idealnym produktem polityki spersonalizowanej. Pokazuje, że własna partia nie jest konieczna, by odgrywać ważną rolę w polityce. Wystarczy symbol, instytucja i odpowiednia narracja. Jako prezes IPN funkcjonował ponad bieżącą rywalizacją partyjną, a jednocześnie aktywnie uczestniczył w wojnie kulturowej. Jako prezydent nie potrzebuje struktur, bo operuje wyłącznie symbolami. Nie zabiega o kompromis, a nawet się nim brzydzi, bo jego przekaz jest moralnie jednoznaczny: tylko on ma rację.

W nowej roli prezydenta RP dużo łatwiej jest mu personalizować historię i pamięć zbiorową, dzielić przestrzeń publiczną na patriotów i zdrajców, a historyczną dyskusję zastępować narracją tożsamościową Polaka-katolika. Ten model władzy symbolicznej dość łatwo może przetworzyć na kapitał polityczny. Z trzech polskich jeźdźców autorytaryzmu Nawrocki jest najgroźniejszy, bo cechuje go absolutna pogarda dla prawa, zasad i norm moralnych, bezwzględność i niebywały populizm.

prof. Joanna Senyszyn

FAKTY PO MITACH

TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol

Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.

Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja elektroniczna: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl**

Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 40 zł (4 wydania)
I kwartał 2026 – 130 zł

„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921

Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl 54278aaac6



ZAORANE

Wodzisław Śląski

Miała być sława i miliony odsłon na YouTube… Pewien 45-latek i jego 29-letni kompan założyli specjalne konto, na którym zamierzali opublikować, jak jeżdżą autem po zamarzniętym jeziorze. Lód okazał się zbyt cienki i samochód zatonął. Panowie i tak wrzucili filmik do sieci. Wkrótce potem do ich drzwi zamiast fanów zapukał… prokurator.

Radom

Na duchownych z położonych wokół miasta parafii padł blady strach. W ciągu kilkunastu dni doszło tam do serii włamań na plebanie, np. w Jedlni-Letnisku, w Trablicach, w Cerekwi. Policja mówi również o kradzieżach w Przasnyszu, Grójcu i w Płońsku. Złodzieje wykorzystywali czas, gdy księża chodzili po kolędzie lub odprawiali msze. Sukienkowi modlą się, by sprawcy opamiętali się i nawrócili. Powtarzają historie o „ciemnym Audi kombi”, ale pewnie woleliby o Czarnej Wołdze…

Lipno

44-latka udała się do sklepu swoim BMW. Coś poszło nie tak, bo najpierw uderzyła w zaparkowane auto i uszkodziła ogrodzenie posesji. Nie przejęła się tym jednak za bardzo i spokojnie udała się na zakupy. Kiedy okazało się, że auta się zakleszczyły, również nie straciła zimnej krwi. Po rozdzieleniu pojazdów jak gdyby nigdy nic odjechała. Nie pytajcie jej jednak, „jakie leki na uspokojenie przyjmuje?”. Powodem były promile. Dokładnie 2.

Kietrz

Kiedy podczas kłótni emocje biorą górę, nigdy nie kończy się to dobrze. Tak też było w przypadku 36-latka, który pokłócił się z ojcem o finansowanie remontu ich wspólnego domu. Wzburzony wezwał policję. Zapomniał jednak, że jest poszukiwany. Tak trafił do więzienia na 22 miesiące. Może tam ochłonie…

Lublin

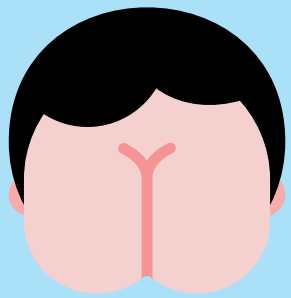
Sposób na problemy większości Polaków, tj. brak pieniędzy, znalazł 44-latek. Podczas zakupów w sklepie wykorzystywał chwilowe zamieszanie przy kasach i płacił banknotami kolekcjonerskimi oznaczonymi napisem „souvenir”. Tak „wydał” 10 tys. zł. Decyzją sądu mężczyzna trafił do aresztu. Plan i tak się powiódł. Przez kolejne trzy miesiące nie musi płacić czynszu ani martwić się o wikt.

Warszawa

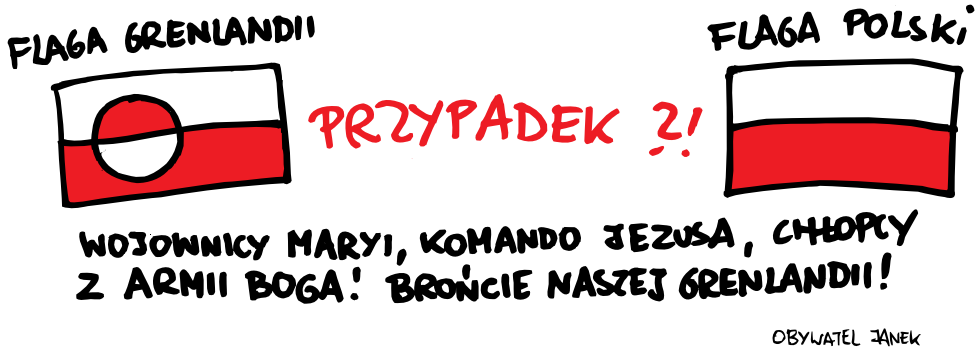
Od kilku dni wejście do Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego przyozdabia „śnieżna kawalerka” – igloo zbudowane przez studenta. Stało się już lokalną atrakcją. Zgodę na budowę wydały władze uczelni. Podobno skazani na absurdalnie małe i drogie mieszkania od deweloperów studenci już wypytują o cenę wynajmu.

Z PiSiej pupy się wyrwało:

Jest oczywiste, że jego (Z. Ziobro – red.) aresztowanie prowadziłoby po prostu do jego przedwczesnej śmierci. To już jest, można powiedzieć, działanie, które być może, może być nawet zakwalifikowane jako zabójstwo i to zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem.



Jarosław Kaczyński
poseł







Autokracja

System rządów (z gr. *autós* – sam, *krátos* – władza), w którym realna władza skupiona jest w rękach jednej osoby lub bardzo wąskiej grupy, a mechanizmy kontroli, odpowiedzialności i równowagi są ograniczone, fasadowe albo całkowicie wyłączone. Autokrację cechuje zwłaszcza personalizacja polityki i utożsamianie partii i państwa z liderem, przekonanym o swojej nieomylności; kontrola informacji i zawłaszczanie mediów, często pod pozorem ochrony obywateli przed dezinformacją, obcymi wpływami, hejtem; legitymizacja władzy poprzez strach lub entuzjazm, a najlepiej jedno i drugie naraz lub naprzemiennie.

W teorii polityki autokracja jest przeciwieństwem demokracji, w której władza jest zasadniczo tymczasowa, kontrolowana i odwoływalna. W autokracji wręcz przeciwnie. Władza jest trwała, nieodwoływalna i pozbawiona nadzoru, gdyż nie ma alternatywy. W odróżnieniu od zakładającej pluralizm i konflikt interesów demokracji, autokracja uważa konflikt za problem, a pluralizm za nieporozumienie. Z punktu widzenia socjologii i psychologii, autokracja kusi prostotą. Oferuje jasne odpowiedzi w świecie pełnym niepewności, wskazuje jednego winnego, zamiast skomplikowanych procesów oraz lidera, który bierze wszystko na siebie. Cena za ten komfort bywa jednak wysoka: ograniczenie wolności, praw obywatelskich i zdolności społeczeństwa do samodzielnego myślenia.

Autokracja jest jednym z najstarszych ustrojów politycznych. Faraonowie, rzymscy cesarze, carowie, sułtani, absolutni monarchowie uważali ją za jedyną właściwą i uzasadniali boskim namaszczeniem, naturalnym porządkiem świata, ale też orężem. W XX i XXI w. autokracja przeszła metamorfozę wizerunkową: powołuje się na prawo, szafuje słowami „naród”, „suweren” i mówi rzekomo w jego imieniu, bo bez pytania go o zdanie. Nie wyklucza nawet wyborów, ale uniemożliwia realną zmianę władzy, czyli dopuszcza głosowanie, ale ze znanym z góry wynikiem.

Szczególnie dobrze autokracja rozwija się w czasach kryzysów gospodarczych, kulturowych, tożsamościowych. Gdy demokracja wymaga cierpliwości, autokracja obiecuje szybkie efekty, zazwyczaj nierealne, ale za to głośno komunikowane. Niepostrzeżenie, cicho, krok po kroku coraz mocniej zakorzenia się w liberalnej demokracji, zazwyczaj pod hasłami porządku, bezpieczeństwa, normalności. Ponieważ jest współcześnie systemem wstydliwym, ukrywa się pod mniej groźnymi nazwami zastępczymi, takimi jak: „silne przywództwo”, „suwerenna demokracja”, „porządkowanie państwa”, a w wersji familijnej: „robimy porządki po poprzednikach”. Autokracja, kiedy już raz się zadomowi, nie chce odejść, a przegoniona robi wszystko, żeby wrócić, jak Trump po Bidenie i Kaczyński po Tusku.

III RP jeszcze nie jest państwem autorytarnym, choć taki styl rządów namiętnie zarzucają sobie nawzajem KO i PiS. Jednak coraz wyraźniej państwo funkcjonuje w systemie demokracji wodzowskiej, w której wybory są wprawdzie wciąż realne, ale wybór ograniczony, by nie powiedzieć pozorny.

prof. Joanna Senyszyn

eprasa.pl 54278aaac6